Czy prezent od marszałka województwa uleczy naszą służbę zdrowia?

STRONA 4

W święta najważniejsze jest dobro. Oni dzielą się nim cały rok

STRONA 6

Szybciej pojedziemy do Gdańska trasą S6. Oddano nowy odcinek drogi

STRONA 6

GŁOS SZCZECIŃSKI
DZIENNIK POMORZA

magazyn na święta

www.gs24.pl

FOT. GETTY IMAGES

Wtorek–piątek, 23–26.12.2025
Nr 297 (5754) • Nakład: 9.730 egz. • Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 0137-9178 • Nr indeksu 348-570

W nadchodzące święta Bożego Narodzenia życzymy Wam chwil, które grzeją serce, i dobra, które zostanie z Wami na długo.

Bliskości, rozmów i spokoju

REKLAMA 0011446820

eprasa.pl fc4eac13b3

SOBOTA, 27 Grudnia
cotygodniowe wydanie „Przy Sobocie" - tuż po świętach, a w nim:

- Powstanie Wielkopolskie 1918-1919
- Doda. Kiedyś zdobywała popularność skandalami. Od lat udowadnia, że jest prawdziwą artystką
- Miejsca, które warto odwiedzić w 2026 roku, zanim staną się modne
- Najsłynniejsze w Polsce bale sylwestrowe i noworoczne w XX w.

Koncert to przejście nad przepaścią

Katarzyna Nocuń
Rozmowa

- Trzeba przejść - nie ma wyboru. Potem jest zmęczenie i radość samospełnienia - mówił PAP Michał Urbaniak w wywiadzie, który został opublikowany w 2023 r., z okazji 80. urodzin artysty.

W sobotę odszedł Michał Urbaniak, jeden z najwybitniejszych polskich muzyków jazzowych, skrzypek i saksofonista. Przypominamy wywiad, jakiego artysta udzielił Polskiej Agencji Prasowej trzy lata temu.

FOTOGRAF: DOROTA KOPERSKA PHOTOGRAPHY, LICENCJA CC BY-SA 4.0

Michał Urbaniak: Dla mnie prawdziwy rok'n'roll, który bardzo, który kocham, lubię i szanuję skończył się tak naprawdę w epoce Jimiego Hendriksa. Uwielbiałem Chucka Berry'ego, jako twórcę całej tej muzyki.

Kiedy czytam i oglądam wywiady z panem, odnoszę wrażenie, że choć spełnił pan większość wielkich marzeń w swoim życiu, wciąż myśli o przyszłości i o tych marzeniach, które się jeszcze nie spełniły.
Michał Urbaniak: Marzenia oczywiście są najważniejsze. Ale ja w ogóle myślę przede wszystkim o tym, co będzie dzisiaj i jutro. Jestem wodnikiem, a wodniki lubią spontanicznie wybiegać w przyszłość. Przychodzą przecież nowe generacje, odkrywają muzykę na nowo. Ja to nazywam „back to the future", czyli „powrót do przyszłości".

Jak pan to rozumie?
Na podstawie muzyki z lat 50. i 60. znów tworzy się nowa muzyka rytmiczna. Ona jest i będzie pod różnymi postaciami, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Tę rolę, którą odgrywał kiedyś jazz, odgrywa dzisiaj hip-hop. W dalszym ciągu mam w sobie pewien barometr - przepraszam, to nie jest chwalenie się - ale mam nosa do wychwytywania talentów. Rozpoznaję je w młodych ludziach, zanim oni sami to rozpoznają. Nie pamiętam, żebym się kiedykolwiek pomylił co do talentu młodych muzyków.

Tak jak kiedyś wpływowe postaci świata jazzu rozpoznawały talent u pana?
Dziś mogę powiedzieć, że wszystko, wprawdzie dużą pracą, ale przychodziło do mnie lekko. Była we mnie pasja, która nie wygasła. Wciąż jest pisanie muzyki po nocach. Więcej pomysłów niż możliwości realizacji.

W pańskim życiu tych nocy nieprzespanych było chyba więcej niż przespanych?...
Tak to bywa. Do dziś potrafię obudzić się w środku nocy z jakimś pomysłem i biec do komputera, żeby go zanotować. Zanim się obejrzę, jest już dzień, za oknem jasno. Czasem trzeba odespać, czasem nie.

O swojej fascynacji muzyką hip-hopową mówi pan nie od dziś. Na przekór zasadom wprowadził ją pan zresztą do filharmonii.
Tak, choć muszę zaznaczyć, że nie wszystko, co próbuje wyglądać jak hip-hop, jest prawdziwym hip-hopem. To samo dotyczy jazzu - każda muzyka, która ma gdzieś swoje korzenie, musi zachować z nimi więź. W Polsce szybko pojawiło się coś, co nazywam „hihopolo". Niektórym białym raperom na fali mody wydawało się, że jeśli założą za długie dżinsy, złapią się za krocze i będą mówić „joł", to wystarczy. A to nie było to. Pojawiło się jednak wiele młodych talentów. Dobra passa w polskim hip-hopie zaczęła chyba od O.S.T.R.-ego, a jednym z pionierów był Liroy.

Liroy, i jego album z 1995 r. ze słynnym utworem „Scyzoryk", rzeczywiście zrobił sporo zamieszania. Był trochę agresywny, trochę zabawny, z mocnym beatem, który sprawiał, że krew zaczynała mocniej pulsować.
I o to chodzi. Podobnie jest z jazzem. Cała Polska i Europa bardzo przeintelektualizowała jazz, a to ma być fajna rytmiczna muzyka do zabawy. Nie trzeba się do niej modlić, ani robić z niej pseudo-klasyki. Nie lubię nikogo krytykować, ale obecnie wokoło jest wielu muzyków, którzy tworzą rzeczy ładne, fajnie brzmiące, ale poza brzmieniem z jazzem nie mają nic wspólnego.

We wczesnym PRL-u zakazywano jazzu jako muzyki „kraju imperialistycznego", jakim była Ameryka. A przecież jazz w swoich źródłach nie miał nic wspólnego z imperializmem. Powstał w dzielnicach biedoty, afroamerykańskich gettach, gdzie poprzez muzykę i rytm próbowano wyrazić emocje.
Oczywiście. Ta muzyka zaczęła się w Afryce, potem przedostała się na plantacje, z plantacji na ulicę, a z ulicy weszła aż do filharmonii i nie tylko.

Kiedy odkrył pan tę muzykę, która wydawała się tak szkodliwa władzom w czasach komuny?
Porwała mnie jako bardzo młodego człowieka. Miałem trzynaście lat, kiedy zakochałem się w bluesie. Nawet zacząłem śpiewać - sam dla siebie, po kryjomu, z samej potrzeby. To wszystko przyszło zupełnie naturalnie.

Kształcił się pan w kierunku gry na skrzypcach i nagle na własną rękę odkrył saksofon. Czy to prawda, że w momencie, gdy odkrył pan saksofon, pańska mama powiedziała, że straciła syna?
Było w tym jakieś ziarno prawdy. Najpierw wziąłem się za gitarę, która raz, że okazała się za trudna, a dwa, że profesor od skrzypiec któregoś razu mało mnie nie pobił, widząc ślady gitary na moich palcach. A grę na saksofonie zacząłem chwytać bardzo szybko. Na początku chciałem to połączyć: być skrzypkiem w orkiestrze symfonicznej i saksofonistą na scenie jazzowej i do pewnego momentu to się udawało. Ale zaczęły się koncerty z muzykami jazzowymi, coraz częstsze podróże, a wtedy naprawdę trudno było wyjechać.

Podobno od najmłodszych lat myślał pan o tym, jak dostać się do Nowego Jorku, aż w końcu się udało.
Zawsze mówię, że w jakimś stopniu urodziłem się Amerykaninem. Nigdy nie znalazłem lepszego i bardziej bliskiego mi miasta niż Nowy Jork. A przecież jeździłem po całym świecie: mieszkałem w Niemczech, Szwajcarii, przez pięć lat w Szwecji. Zobaczyłem wiele miast, poznałem wiele kultur i wielu ludzi, ale nigdzie nie znalazłem miejsca, które mogłoby równać się z Nowym Jorkiem. Teraz już nawet bym go nie szukał.

Sama, kiedy miałam pierwszy raz wyjechać do Nowego Jorku, zamiast czytać przewodniki turystyczne, zaczęłam słuchać muzyki jazzowej. Chciałam przygotować się na to miasto bardziej emocjami niż wiedzą. Myśli pan, że to był dobry pomysł?
Tak, bo Nowy Jork odkrywa muzykę. Po ulicy chodzą ludzie w pięknych garniturach, ze skórzanymi teczkami, w eleganckich butach i nawet nie wiedzą, że swingują chodząc.

Pańskim idolem był Miles Davis, ale na początku zdawał się niedostępny. Opowiadał pan w wywiadach, że najpierw czaił się pan na niego po koncertach, pragnąc przynajmniej postać przy tej samej budce telefonicznej co on. A potem zagraliście na jednej scenie, ostatecznie nagrał pan z nim trzy utwory do płyty „Tutu" z 1986 r. Mówił o panu „dajcie mi tego cholernego skrzypka z Polski. On ma wyczucie". Wiele można powiedzieć o Milesie Davisie jako genialnym artyście, ale nie to, że był gadatliwy i wylewny...
Za to zawsze był bardzo elegancki. Ekstrawagancki też, ale przez całe życie dbał o to, jak wyglądał. Kiedyś nosił najlepsze francuskie garnitury. Jego zdjęcia ze starszych płyt są niesamowite. Pamiętam z wyjazdu w 1962 r. jak pojechaliśmy z nim na dwa miesiące w trasę po Stanach. Całe 7 dni koncertów i on w garniturze jednorzędowym z trzema guzikami, przeplatanym złotą nitką. To był mój guru przez całe życie aż do dziś - Miles.

Jakie to uczucie wyjść z Milesem Davisem na scenę i zatracić się w tej pulsującej rytmem muzyce?
To spełnienie marzeń. Człowiek czuje się, jakby znalazł się w zupełnie innym świecie. Czasem porównuję koncert z przechodzeniem po kładce nad przepaścią. Trzeba przejść, nie ma wyboru. Ale to nie jest przymus, to jest radość przechodzenia. Najważniejsza jest ta droga na drugą stronę. Potem z jednej strony jest zmęczenie, z drugiej - radość samospełnienia.

Często mówi pan o tym, jak bardzo docenił hip-hop i raperów. A co z rock'n'rolem? Przecież on wywodzi się z bluesa. W nim też wszystko opiera się na rytmie.
Dla mnie prawdziwy rok'n'roll, który bardzo, który kocham, lubię i szanuję skończył się tak naprawdę w epoce Jimiego Hendriksa. Uwielbiałem Chucka Berry'ego, jako twórcę całej tej muzyki. Przypadkowo dowiedziałem się zresztą, że był klientem tego samego prawnika co ja.

Musiał to być nie byle jaki prawnik...
Kiedy przyjechałem do Stanów, wiedziałem od kolegów z Europy, że podstawą bytu w Stanach jest posiadanie dobrego adwokata, więc znalazłem takiego. Okazało się, że reprezentował także Beatlesów, Chucka Berry'ego i wielu innych.

Znam płyty zespołów grających różne odmiany muzyki metalowej, które w ciężkie brzmienia gitarowe potrafią na przykład wpleść elementy jazzu granego na saksofonie. Czy jazz da się połączyć ze wszystkim?
Te muzyki trochę się różnią pod względem rytmicznym, ale funkcjonalnie działają na tej samej zasadzie.

A na czym polega różnica między tym, jak jazz postrzegają Europejczycy, a jak postrzegają go Amerykanie?
Przede wszystkim jest wielu Amerykanów, którzy w ogóle nie myślą o muzyce, tylko naturalnie ją przejmują, bo powstała na tamtej ziemi, jest dla nich zupełnie naturalna i mają ją w genach. Europejczycy bardzo często zbyt dużo myślą i intelektualizują jazz.

Kiedy rozmawiam z artystami, którzy odnieśli wielki sukces w Stanach, mam wrażenie, że coś ich łączy: często mówią, że wszystko stało się przypadkiem, bo znaleźli się w odpowiednim czasie i odpowiednim miejscu, poznali właściwych ludzi. To chyba wymaga ogromnej otwartości, by tę szansę złapać, zanim ucieknie? Umieć rozmawiać z ludźmi?
Kiedy dłużej pobędzie się w Stanach, a szczególnie w Nowym Jorku, który jest specyficzny i wyjątkowy, odkrywa się, że tam komunikacja międzyludzka stoi na bardzo wysokim poziomie. Uważam, że większość krajów europejskich powinna zazdrościć takiego szacunku, jakim tam jeden człowiek darzy drugiego.

Często wraca pan do Polski?
Wracam, kiedy wzywają mnie sprawy rodzinne lub - ostatnio - zdrowotne. Pozostanę Polakiem, który mieszka w Nowym Jorku.

Rozmawiała
Malwina Wapińska

eprasa.pl fc4eac13b3

AKCJA CHARYTATYWNA 0711434824

eprasa.pl fc4eac13b3

Marszałek konstruuje „samolot w locie”. Ale są pierwsi pasażerowie

Leszek Wójcik
Szczecin

„Szpitale Zachodniopomorskie”, tak się będzie nazywała spółka koordynująca pracę większości szpitali w województwie. Prawdopodobnie zacznie działać w przyszłym roku.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Czy szpital wchodzący do spółki będzie likwidował nierentowne oddziały? - Niczego takiego nie zakładamy - zapewnia Olgierd Geblewicz.

Klamka zapadła na ostatniej, grudniowej, sesji Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego. Radni przegłosowali wówczas uchwałę powołującą spółkę „Szpitale Zachodniopomorskie”.

- Usprawni zarządzanie tymi placówkami - zapewnia Olgierd Geblewicz, marszałek województwa. - Z kolei pacjentom ułatwi dotarcie do specjalisty.

Spółka ma zacząć działać w przyszłym roku. Dzisiaj jeszcze nie wiadomo, ile szpitali się do niej przyłączy - najlepiej, by działały w niej wszystkie.

- Mamy już sygnały, że część samorządów, które prowadzą SP ZOZ-y, jest zainteresowana - podkreśla marszałek. - Na razie prowadzimy rozmowy z kilkoma placówkami położonymi najbliżej Szczecina. Potem, mam nadzieję, będzie ich coraz więcej.

W jaki sposób z jej powołania skorzysta przysłowiowy Kowalski? Będzie się łatwiej dostać do szpitala specjalistycznego. Tym bardziej, że już dzisiaj większość chorych mających poważniejsze kłopoty ze zdrowiem, chce być leczona w profesjonalnych placówkach. A to oznacza, że chorzy nie trafiają do szpitali powiatowych tylko do placówek będących na wyższym poziomie referencyjności. W konsekwencji, oddziały w małych szpitalach stoją puste. I stają się nierentowne. Najlepszym przykładem są oddziały położnicze. Większość kobiet chce rodzić w szpitalach w Szczecinie lub Koszalinie, gdzie opieka nad ciężarną jest na najwyższym poziomie.

- W szpitalu w Goleniowie jeszcze kilkanaście lat temu rodziło się 80 dzieci, co już wtedy uważano za zbyt mało - przypomina Olgierd Geblewicz. - Dziś przychodzi tam na świat o połowę mniej noworodków.

A mimo to, oddział trzeba utrzymywać w gotowości (wciąż np. trzeba też kupować sprzęt, co w praktyce oznacza, że najtańszy na rynku). Poza tym musi być kadra. Szpital zatrudnia więc lekarzy, którzy nic nie robią z powodu braku pacjentów. A, że wciąż ich brakuje, by ich zdobyć, trzeba im zapłacić.

Czy szpital wchodzący do spółki będzie likwidował nierentowne oddziały?

- Niczego takiego nie zakładamy - zapewnia Geblewicz. - Właścicielem placówki nadal będzie samorząd i to on podejmuje takie decyzje - czy chce dopłacać do deficytowego oddziału. My jedynie spróbujemy usprawnić zarządzanie. Nie ma na to jednej recepty. Ale pewne jest, że w większości placówek są problemy finansowe.

Powstaje spółka, która ma w pewnym zakresie skonsolidować działania placówek samorządowych.

- Zdaję sobie sprawę, że nasz pomysł będzie krytykowany. Domyślam się nawet kto będzie jemu przeciwny najbardziej. Ta wąska grupa, która na istniejącej obecnie patologii najbardziej korzysta.

Marszałek przyznaje, że sytuacji w ochronie zdrowia nie poprawi się z dnia na dzień. Tym bardziej, że do spółki samorządy mają wchodzić na zasadzie dobrowolności.

- W przyszłym roku chcemy zacząć się linkować z jednym czy dwoma szpitalami, by ruszyć proces - widzę, że jest zainteresowanie. Dla nas to też trudne. Konstruujemy samolot w locie, ale w końcu trzeba wreszcie postawić pierwszy krok.

0011455805

Głęboko zasmuceni żegnamy

ś†p

Stanisława Golemę

Wspaniałego Człowieka,
Tatę Pawła i Dariusza Golema

Rodzinie i Najbliższym
składamy
wyrazy głębokiego współczucia.

Zarząd i Pracownicy
Apartamenty Gryf Sp. z o.o.

0011455826

Rodzinie i Najbliższym

ś†p

Stanisława Golemy

składamy
najszczersze wyrazy współczucia i żalu.

Pracownicy i współpracownicy
Dobra Pączkarnia Sp. z o.o. Sp.k.

KRÓTKO

SZCZECIN
Koncert Kayah w Filharmonii - projekt Jazzayah

Dojrzałość, wolność i emocja - 19 lutego Filharmonia im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie stanie się przestrzenią spotkania z Kayah w projekcie Jazzayah. To koncert, w którym znane utwory artystki wybrzmią na nowo.

W nowych aranżacjach znane piosenki zyskują miękkość, przestrzeń i elegancję, odsłaniając swoją emocjonalną głębię.

Podczas koncertu publiczność usłyszy m.in. utwory „Supermenka”, „Testosteron”, „Po co”, „Ramię w ramię” czy „Prawy do lewego”.

W każdym będzie miejsce na improwizację, dialog z muzykami i uważność na dźwięk.

Jak zapowiada organizator - koncert nie jest nostalgicznym powrotem, lecz świadomym reinterpretowaniem twórczości, która dojrzewa wraz z artystką i jej odbiorcami.

Bilety dostępne na platformie biletomat.pl

Może to pomysł na gwiazdkowy prezent?

Agata Maxymiuk

0011455804

Głęboko zasmuceni żegnamy

ś†p

Stanisława Golemę

Wspaniałego Człowieka,
Tatę Pawła i Dariusza Golema

Rodzinie i Najbliższym
składamy
wyrazy głębokiego współczucia.

Zarząd i Pracownicy
Baltic Spa Sp. z o.o.

0011455811

Rodzinie Golema

wyrazy głębokiego współczucia oraz szczere kondolencje
z powodu śmierci

Męża, Taty,
Dziadka i Teścia

składają

Zarząd i Pracownicy
Stara Pączkarnia I Sp. z o.o. Sp. k.

0011455807

Głęboko zasmuceni żegnamy

ś†p

Stanisława Golemę

Wspaniałego Człowieka,
Tatę Pawła i Dariusza Golema

Rodzinie i Najbliższym
składamy
wyrazy głębokiego współczucia.

Zarząd i Pracownicy
Euro Centrum Pomerania Sp. z o.o.

eprasa.pl fc4eac13b3

REKLAMA 0011442601

eprasa.pl fc4eac13b3

W święta najważniejsze jest dobro. Oni niosą je przez cały rok

Marek Jaszczyński
Szczecin

Boże Narodzenie to czas, w którym szczególnie myślimy o drugim człowieku. Dla członków Wojskowego Klubu Honorowych Dawców Krwi PCK pomaganie nie jest świątecznym hasłem.

FOT. ARCHIWUM

Dla członków Wojskowego Klubu HDK PCK odwiedziny podopiecznych świetlicy środowiskowej Caritas były radosne

- Pomaganie to nie jest coś, co robimy od święta. To styl myślenia i działania, który towarzyszy nam na co dzień - podkreśla Jacek Bednarz, od lat zaangażowany w działalność krwiodawczą i społeczną.

Od prawie czterech dekad ratują zdrowie i życie, a ich działalność daleko wykracza poza samo honorowe krwiodawstwo. Wojskowy Klub Honorowych Dawców Krwi Polskiego Czerwonego Krzyża w Szczecinie jest jednym z najstarszych i nielicznych w regionie, które przetrwały zmiany ustrojowe, kryzysy organizacyjne i pandemię COVID-19. Dziś skupia 27 aktywnych członków i przygotowuje się do jubileuszu 40-lecia.

- Jestem członkiem klubu od 2001 roku, natomiast sam klub istnieje od 1988 roku. Jesteśmy jednym ze starszych klubów na Pomorzu Zachodnim i jednym z niewielu, które przetrwały - mówi Jacek Bednarz, członek Wojskowego Klubu HDK PCK w Szczecinie.- Rekrutujemy się głównie spośród żołnierzy zawodowych, byłych żołnierzy, ich rodzin oraz pracowników resortu obrony narodowej, ale statut pozwala na przyjęcie także osób cywilnych, które angażują się w działalność charytatywną i krwiodawczą - wyjaśnia.

Jak podkreśla, samo oddawanie krwi to nie wszystko.

- Krwiodawstwo i działalność charytatywna nie zawsze idą w parze. Trzeba mieć to „coś w sercu", chęć pomagania drugiemu człowiekowi. Są u nas osoby, które z powodów zdrowotnych nie mogą już oddawać krwi, ale nadal aktywnie działają na rzecz innych - dodaje.

Głównym celem działalności klubu jest promocja honorowego krwiodawstwa i uświadamianie, jak ogromne ma ono znaczenie dla systemu ochrony zdrowia.

- Krew jest tkanką. Jej podanie to w praktyce przeszczep. Medycyna do dziś nie potrafi jej zastąpić żadnym syntetycznym odpowiednikiem podkreśla Jacek Bednarz. - Dlatego tak ważne jest, by krwi nie brakowało, zwłaszcza w okresach wakacyjnych czy świątecznych, gdy dawców jest mniej.

Członkowie klubu szczególnie zachęcają młodych ludzi, by swoją dorosłość zaczynali od wizyty w centrum krwiodawstwa.

- Osiemnaste urodziny to idealny moment, by pójść do Regionalnego Centrum Krwiodawstwa przy al. Wojska Polskiego albo do Wojskowej Stacji Krwiodawstwa i zrobić coś dobrego dla innych - mówi Bednarz.

Działalność klubu to także szeroka pomoc charytatywna. Członkowie angażują się m.in. we wsparcie weteranów misji zagranicznych, często we współpracy z Fundacją Pomoc dla Weterana.

Jednym z ostatnich przykładów był festyn charytatywny dla starszego chorążego sztabowego w stanie spoczynku Michała Hajdasa, który doznał dwóch rozległych udarów.

- Udało się zebrać ponad 20 tysięcy złotych podczas festynu i kolejne 9 tysięcy z licytacji. Dzięki temu Michał mógł pojechać na turnus rehabilitacyjny, który realnie poprawia jego stan zdrowia - relacjonuje Bednarz.

Klub wspiera również dzieci z placówek wsparcia dziennego, m.in. „Wesołą Chatkę" przy szczecińskim PCK.

REKLAMA 0011450190

Szybciej do Gdańska trasą S6. Odcinek Koszalin-Słupsk otwarty

Tomasz Turczyn
Region

W poniedziałek otwatro odcinek ekspresowej drogi S6 na pograniczu województw zachodniopomorskiego i pomorskiego.

FOT. TOMASZ TURCZYN

Kierowcy w naszym regionie zyskali 46 kilometrów nowej drogi ekspresowej.

To kolejne, otwarte odcinki drogi S6: Sławno - Słupsk i Sianów - Sławno. Razem 43 km. Jednocześnie świetne wiadomości dla kierowców przed świętami.

- To koniec komunikacyjnego wykluczenia Pomorza - usłyszeliśmy na konferencji podczas otwarcia S6.

Dla kierowców 46 km ekspresowej drogi S6 będzie...

- Udostępniane stopniowo. Dla kierowców nastąpi to około południa i będzie trwało do godzin popołudniowych. Zalecamy ostrożność i zwracanie uwagi na oznakowanie - mówi Mateusz Grzeszczuk z Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad w Szczecinie.

GDDKiA ze Szczecina wylicza, że S6 na odcinku: Słupsk - Sławno ma 22,9 km. Wartość kontraktu wynosi 701 milionów złotych. Tu ekspresówkę buduje spółka Stecol Corporation. W ramach tego powstały m.in. cztery węzły drogowe: Sławno, Warszkowo, Wrześnica i Sycewice, cztery mosty z funkcją przejścia dla zwierząt, 14 wiaduktów, estakada plus jeszcze przepusty hydroekologiczne. Drugi z odcinków S6, gdzie trwają prace to: Sławno - Sianów - 23,1 km. Wykonawcą jest Konsorcjum Kobylarnia S.A. i Mirbud S.A. Wartość umowy to ponad 657 milionów zł.. W ramach inwestycji powstały cztery węzły drogowe: Karwice, Malechowo, Bobrowice, Sławno.

- Tu powstaje obwód utrzymania drogi ekspresowej. W rejonie miejscowości Bobrowice stanęły garaże, magazyn soli i budynek administracyjny - wymienia Mateusz Grzeszczuk. - Jest tu przewidziana też rezerwa terenu pod budowę stacji paliw i restauracji.

Bardzo dobrze się też dzieje na budowie ponad 20-kilometrowego odcinka S6 z Leśnic do Bożegopola Wielkiego w woj. pomorskim. Tu prace też powoli dobiegają końca. I choć są na bardzo zaawansowanym etapie, na otwarcie tego odcinka S6 będzie trzeba poczekać. Planowy termin zakończenia budowy to 9 kwietnia 2026 roku.

eprasa.pl fc4eac13b3

REKLAMA 0011454409

PAD RES

Święta Bożego Narodzenia to czas refleksji, bliskości
i patrzenia z nadzieją w przyszłość.

Z tej okazji składamy serdeczne życzenia spokoju, zdrowia
oraz dobrych chwil w gronie najbliższych.

Niech nowy rok przyniesie Państwu stabilność, rozwój
i energię do budowania lepszej przyszłości –
dla siebie, swoich bliskich i miejsc, w których żyjemy.

Szczególne życzenia kierujemy do mieszkańców gmin
Biesiekierz, Dębno, Dolice, Kobylanka, Marianowo,
Maszewo, Stara Dąbrowa oraz Stargard.
Dziękujemy za zaufanie i współpracę.

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślności w Nowym Roku!

Grupa PAD RES

*Grupa PAD RES to polski deweloper i inwestor
w odnawialne źródła energii, realizujący projekty
energetyczne w wielu regionach Polski.*

POLSKA *i* ŚWIAT

WYDATKI

Wydatki związane z prezentami pod choinką pochłaniają znaczną część świątecznego budżetu Polaków: blisko 37 proc. konsumentów wyda na upominki od 20 do 40 proc. z całej kwoty przewidzianej na urządzenie Bożego Narodzenia. W badaniu zapytano respondentów, jaką część ich świątecznego budżetu stanowią wydatki na prezenty. Do wyboru było 10 wariantów odpowiedzi, w tym 8 przedziałów: od mniej niż 10 proc. do powyżej 70 proc.

Jesteście niezastąpioną częścią naszej narodowej wspólnoty. Kościół katolicki w Polsce zawsze o was pamięta

biskup Robert Chrząszcz w liście do Polonii z okazji świąt Bożego Narodzenia

Sąd odroczył posiedzenie ws. aresztu Ziobry. Są wątpliwości

Marcin Koziestański
Warszawa

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa odroczył do połowy stycznia posiedzenie w sprawie ewentualnego aresztu dla b. szefa MS Zbigniewa Ziobry.

Najpierw sąd zdecydował o chwilowej przerwie. O decyzji sądu w sprawie przerwy poinformował prokurator Piotr Woźniak, który kieruje śledztwem dotyczącym nieprawidłowości w wydawaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. Obrońcy i prokurator byli obecni na posiedzeniu sądu, które było niejawne; na posiedzeniu nie stawił się Ziobro.

Prok. Woźniak powiedział dziennikarzom, że sąd zarządził przerwę w celu rozpoznania wniosków obrony o odroczenie poniedziałkowego posiedzenia. - Na obecnym etapie nie były omawiane kwestie związane z argumentacją co do konieczności zastosowania tymczasowego aresztowania. Były omawiane kwestie techniczne - dodał Woźniak.

Jeden z pełnomocników Ziobry, mec. Bartosz Lewandowski, powiedział dziennikarzom, że wnioski o odroczenie posiedzenia uzasadnione są „dość istotnymi brakami materiału dowodowego". Jak dodał, sąd ma obowiązek brać pod uwagę także dowody, które są na korzyść podsądnych. - Jeśli prokuratura nie przedkłada tych materiałów, to trudno dać sądowi możliwość, żeby się z nimi zapoznał - oświadczył Lewandowski.

Drugi z pełnomocników b. szefa MS, Adam Gomoła, dodał, że chodzi o „materiały o charakterze niejawnym, z którymi sąd nie miał styczności". Gomoła zapowiedział ponadto złożenie wniosku o wyłączenie prok. Woźniaka, bo według niego zachodzą „uzasadnione wątpliwości" co do jego bezstronności.

FOT. ADAM JANKOWSKI

7 listopada Sejm uchylił immunitet Zbigniewowi Ziobrze w odniesieniu do wszystkich 26 zarzutów

Wniosek prokuratury w sprawie aresztowania Ziobry na okres trzech miesięcy rozpatruje w jednoosobowym składzie sędzia Agnieszka Prokopowicz, która po przerwie odroczyła do połowy stycznia posiedzenie w sprawie ewentualnego aresztu dla b. ministra sprawiedliwości.

Do tej pory Ziobro przebywał w Budapeszcie, a ostatnio w Brukseli. Prokuratura - uzasadniając wniosek o jego areszt - wskazała przede wszystkim na realne ryzyko jego niestawiennictwa, uciecz-ki, ukrywania się oraz matactwa procesowego. Śledczy zarzucają mu, że kierował zorganizowaną grupą przestępczą i popełnił 26 przestępstw, m.in. wydawać swoim podwładnym polecenia łamania prawa, by zapewnić wybranym podmiotom dotacje z Funduszu Sprawiedliwości, a także ingerować w przygotowanie ofert konkursowych.

Do tej pory Ziobro nie zadeklarował jednoznacznie, czy wystąpi o azyl polityczny na Węgrzech, czy wróci do Polski. Na początku grudnia zapewniał, że stawi się w kraju w ciągu kilku godzin, jeśli „zostanie przywrócony losowy przydział spraw sędziom", zostaną przywróceni „nielegalnie odwołani prezesi sądów" oraz „legalna władza w prokuraturze, w tym legalny prokurator krajowy".

Sejm uchylił immunitet Ziobrze 7 listopada w odniesieniu do wszystkich 26 zarzutów, które chce mu postawić prokuratura, w związku ze sprawą Funduszu Sprawiedliwości. Sejm wyraził również zgodę na jego zatrzymanie i aresztowanie. Tego samego dnia - kilka godzin później - prokuratura wydała posta-nowienie o przedstawieniu Ziobrze 26 zarzutów, a także o zatrzymaniu go i przymusowym doprowadzeniu przez Agencję Bezpieczeństwa Wewętrznego, co okazało się jednak nieskuteczne z powodu nieobecności byłego ministra w Polsce. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY ŚWIEĆ SIĘ Z ENERGĄ

0111451986

23 grudnia rozpoczynamy głosowanie na **najpiękniejsze zdjęcia miast** w konkursie **„Świeć się z Energą"**. Ale wciąż możecie zgłaszać swoje propozycje!

Ulice miast i miasteczek nabrały świątecznego blasku. Choinki lśnią tysiącami światełek, tworząc wyjątkowy, bożonarodzeniowy klimat. Dziękujemy za wszystkie zdjęcia, które już do nas trafiły. 23 grudnia rozpoczynamy głosowanie na najpiękniej rozświetlone na święta miasto, ale wciąż czekamy na kolejne zgłoszenia - macie na to czas aż do 11 stycznia 2026 r.

Co sprawia, że właśnie o tej porze tysiące mieszkańców miast i miasteczek z całej Polski przesyłają zdjęcia rozświetlonych ulic, by to właśnie miejsce, w którym na co dzień żyją, zwyciężyło w konkursie „Świeć się z Energą"? Odpowiedź jest prosta - ten świąteczny konkurs to coś więcej niż rywalizacja. To realna pomoc dla osób, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej, a mieszkają tuż obok. Bo wygrana miasta przekłada się na konkretne wsparcie potrzebujących - im więcej głosów zdobędzie, tym większa szansa na zwycięstwo w pierwszym etapie konkursu oraz bon od Energi na sprzęt AGD o wartości 10 tys. zł. To z kolei otwiera drogę do ogólnopolskiej rywalizacji o tytuł Świetlnej Stolicy Polski i główną nagrodę o wartości 50 tys. zł. Dlatego już można głosować! Zachęcajcie rodzinę i przyjaciół do udziału w plebiscycie, pokażcie siłę lokalnej wspólnoty. Teraz wszystko jest w Waszych rękach!

23 grudnia startuje głosowanie w pierwszym etapie plebiscytu

Aby zagłosować w charytatywnym projekcie, wystarczy odwiedzić stronę serwisu regionalnego, odnaleźć zapowiedź konkursu i skorzystać z narzędzia plebiscytowego. Każdego dnia zalogowany uczestnik może oddać aż 10 bezpłatnych głosów. Tak będzie aż do 21 stycznia, kiedy zakończy się regionalny etap konkursu miast. Ale - co ważne - wciąż można dodawać kolejne fotografie. Pamiętajcie, nie ma znaczenia, czy korzystacie z profesjonalnego aparatu, czy świąteczne impresje „łapiecie" telefonem. Liczą się pomysł i chęć pomagania.

Wsparcie trafi do osób w potrzebie

W poprzednich edycjach projektu „Świeć się z Energą" zwycięskie samorządy przekazywały seniorom sprzęt AGD, m.in. kuchnie indukcyjne, odkurzacze, kuchenki mikrofalowe, blendery i ekspresy do kawy. Energooszczędne pralki oraz lodówki z zamrażarkami trafiały do rodzin zastępczych. Pralki przemysłowe wspierały działalność miejskich ośrodków pomocy społecznej, prowadzących punkty wydawania odzieży i jadłodajnie. Nie zabrakło także komputerów i projektorów - niezbędnych do codziennych zajęć w świetlicach terapeutycznych.

Razem niesiemy dobro

Nasz bożonarodzeniowy plebiscyt ma moc - światło nie tylko zdobi przestrzeń, w której żyjemy, ale też niesie wsparcie. Wspólnie możemy więcej, dlatego angażujcie najbliższych, wszystkich zachęcajcie do aktywności. W tym wyjątkowym czasie nieśmy dobro!

eprasa.pl fc4eac13b3

Trudne rozmowy przesunięte

FOT. PAP/SZYMON PULCYN

„Dzisiejsze głosowania przełożono na styczeń. Walczymy dalej o polskie i europejskie rolnictwo" – napisał w poniedziałek na X minister rolnictwa Stefan Krajewski

Karolina Wrońska
Belgia

Decyzja unijnych ambasadorów w sprawie klauzul ochronnych dla rolników w umowie handlowej UE z Mercosurem, pierwotnie planowana na poniedziałek, została przełożona na styczeń.

Dyskusja nad umową z Mercosurem została pierwotnie wpisana w agendę poniedziałkowego spotkania ambasadorów UE w Brukseli. Jak przekazały źródła unijne, ambasadorowie mieli dyskutować o tym, co poprawić w umowie i jakie dać instrukcje nowej prezydencji w Radzie UE (1 stycznia przejmie ją Cypr od Danii).

Planowano też dalsze prace nad klauzulami chroniącymi unijnych rolników oraz rozmowy o sposobach na poprawienie sytuacji rolników w następnych wieloletnich ramach finansowych UE. Ambasadorowie mieli przyjąć m.in. decyzję o sposobach ochrony rolników w trybie procedury pisemnej, umożliwiającej szybkie przyjęcie decyzji Rady UE w trybie korespondencyjnym, bez konieczności zwoływania formalnego posiedzenia.

W poniedziałek rano ambasadorowie zdecydowali jednak o przesunięciu decyzji w sprawie ochrony rolników na styczeń. Domagały się tego m.in. polskie organizacje rolnicze. W widzianym przez PAP liście wysłanym w piątek do MSZ rolnicy sprzeciwili się zastosowaniu procedury pisemnej. Podkreślili, że tak ważne decyzje, jak ochrona ich grupy zawodowej, wymagają szerszej debaty, oraz apelowali, by Polska wystąpiła o zdjęcie tematu Mercosuru z porządku obrad ambasadorów. „Działamy dalej w sprawie Mercosur. Dzisiejsze głosowania przełożone na styczeń. Walczymy dalej o polskie i europejskie rolnictwo" – napisał w poniedziałek na X minister rolnictwa Stefan Krajewski.

Agencje ANSA i AFP podały za źródłami unijnymi, że Unia planuje podpisać porozumienie handlowe z blokiem Mercosur 12 stycznia. Pierwotnie przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen chciała podpisać je 20 grudnia, ale sprzeciwiła się temu część państw członkowskich, w tym Włochy, których premier Giorgia Meloni zażądała dodatkowych gwarancji dla sektora rolnego.

W piątek premier Donald Tusk powiedział dziennikarzom, że Polska podtrzyma negatywne stanowisko wobec umowy. Dodał, że przesunięcie podpisania porozumienia na styczeń da Komisji czas na opracowanie dodatkowych zabezpieczeń.

Umowa z blokiem krajów Mercosur, w skład którego wchodzą Argentyna, Brazylia, Paragwaj, Boliwia i Urugwaj, ustanowi preferencje celne dla niektórych produktów rolnych z tych państw, takich jak wołowina, drób, nabiał, cukier i etanol. W zamian rynki tych krajów otworzą się na europejski przemysł. PAP

W piątek, tuż po szczycie UE, premier Donald Tusk powiedział dziennikarzom, że Polska podtrzyma negatywne stanowisko wobec umowy

Eksplozja samochodu generała Sarwarowa. Zginęli on i jego kierowca

Marcin Koziestański
Rosja

Generał major Fanił Sarwarow zginął w poniedziałek rano na skutek wybuchu improwizowanego ładunku wybuchowego ukrytego w samochodzie, którym jechał.

Fanil Sarwarow był szefem Zarządu Szkolenia Operacyjnego Sił Zbrojnych Rosji i brał udział w wojnie w Ukrainie. Samochód należący do generała został wysadzony w Moskwie.

Do potężnej eksplozji doszło około godziny 7 rano na dziedzińcu budynku mieszkalnego. Według śledczych pod podwoziem samochodu Kia Sorento podłożono improwizowany ładunek wybuchowy, który został zdetonowany kilka sekund po rozpoczęciu jazdy.

56-letni kierowca generała odniósł liczne obrażenia i po kilku godzinach zmarł.

Według Komitetu Śledczego za przygotowanie ataku odpowiedzialny jest 17-letni mieszkaniec Moskwy, który miał działać na zlecenie ukraińskich służb specjalnych i został zatrzymany niedługo po ataku. Zgodnie z wstępnymi ustaleniami miał on przygotować ładunek wybuchowy na podstawie otrzymanych instrukcji, a następnie zamontować go pod samochodem, którym poruszał się Sarwarow.

Za przeprowadzenie ataku sprawca miał otrzymać 50 tysięcy rubli (ok. 2,3 tys. zł).
PAP

FOT. PAP/EPA

Do potężnej eksplozji doszło wczoraj około godziny 7 rano na dziedzińcu budynku mieszkalnego w Moskwie

REKLAMA 0011444590

eprasa.pl fc4eac13b3

Zapomniana potrawa - siuśpaj na wigilię

Paweł Chwał
Wola Rzędzińska

Większość Polaków nie wyobraża sobie wigilii bez barszczu z uszkami, zupy grzybowej, karpia, pierogów z kapustą czy kompotu z suszu. Tymczasem w wielu domach pod Tarnowem potrawą, która obowiązkowo musi pojawić się na stole w tym dniu jest... siuśpaj. Pod tą oryginalną nazwą kryje się tradycyjna kasza z suszonymi śliwkami i gruszkami, doprawiana miodem, według przepisu, którego strażniczkami są panie z Koła Gospodyń Wiejskich w Woli Rzędzińskiej.

Siuśpaj idealnie pasuje do wigilijnego menu. Jest to danie postne, do jego przygotowania nie potrzeba mięsa, jedynie kilka powszechnie dostępnych składników. Połączone razem, w odpowiednich proporcjach, tworzą uniwersalną potrawę, która zimą podawana jest zazwyczaj na ciepło, a latem na zimno.

W domu Wiesławy Mitery siuśpaj serwowany był od dziecka. Teraz ona sama jest kontynuatorką tradycji rodzinnej i często sięga po przepis na tę wyjątkową kaszę na słodko. W wolańskim kole nazywana jest wręcz specjalistką od siuśpaja. Kiedyś - na podtarnowskich wsiach - spożywano go na co dzień, głównie jako drugie danie do obiadu lub jako pokrzepiający posiłek przyrządzany podczas prac polowych, często ze słodkim mlekiem, do zalania albo popicia.

- Gospodynie, idąc w pole na cały dzień, choćby do żniw, nie miały czasu ani też możliwości na to, aby gotować dwudaniowy obiad. Przygotowywały więc dzień wcześniej gar kaszy z suszem, która podawana była wówczas na zimno, jako sycący i dodający energii posiłek. Na dodatek niskokaloryczny, który dobrze wpływa na trawienie - przekonuje Wiesława Mitera.

Panie z Koła Gospodyń Wiejskich w Woli Rzędzińskiej nawiązują do tej tradycji i siuśpajem obowiązkowo częstują co roku gości sierpniowych dożynek.

Wigilijna wersja

- Starsi znają ten smak, młodsi nie za bardzo. Nawet krzywią się i kręcą nosem, kiedy namawiamy ich, żeby skosztowali. Potrawa, to fakt, nie wygląda może zachęcająco, ale jak już spróbują, to zazwyczaj proszą o dokładkę. Połączenie, miodu, owoców i delikatnego smaku kaszy powoduje, że otrzymujemy aromatyczny, słodki deser - tłumaczą gospodynie.

Zimowa wersja siuśpaja, kojarzona przede wszystkim z wigilią, podawana jest na ciepło. Do jej przyrządzenia potrzeba:

- 2 szklanek kaszy jęczmiennej wiejskiej lub pęczaku
- 20 dag śliwek suszonych
- 10 dag gruszek suszonych
- miodu lub cukru
- powideł węgierkowych do smaku

FOT. PAWEŁ CHWAŁ

Może i nie wygląda zachęcająco, ale smakuje doskonale

Przygotowania do wykonania potrawy najlepiej zacząć dzień wcześniej.

- Śliwki i gruszki trzeba bowiem moczyć osobno przez około 12 godzin, podobnie jak kaszę, którą przed namoczeniem należy uprzednio wypłukać - wyjaśnia Wiesława Mitera.

Dopiero po tym czasie można przejść do kolejnego kroku.

- Osobno gotuję najpierw śliwki i gruszki, a następnie kaszę do miękkości. W osobnym garnku mieszam wszystko ze sobą i zagotowuję razem na delikatnym ogniu, dodając jeszcze do smaku delikatnie powidła śliwkowe, a na koniec dosładzam powstałą w ten sposób masę miodem, dodając go do lekko przestudzonej już kaszy, by nie stracił swoich wartości odżywczych - tłumaczy gospodyni.

Tak przygotowany siuśpaj można już podawać na stół. Niektórzy lubią go jeść z dodatkiem zimnego mleka, którym polewa się porcję nałożoną na miseczkę czy talerz.

- Podczas wigilii siuśpaj serwuję zazwyczaj już na sam koniec, jako deser wieńczący całą kolację. Tak podawała moja mama, tak też i ja robię u mnie w domu - dodaje Teresa Mitera, kolejna z przedstawicielek KGW w Woli Rzędzińskiej.

Specjał z Małopolski na ministerialnej liście

Staraniem członkiń koła i gminy Tarnów przygotowywana przez miejscowe gospodynie potrawa została w 2012 roku wpisana na Listę Produktów Tradycyjnych Ministerstwa Rolnictwa, dołączając m.in. do innych znanych produktów z Małopolski, m.in. bryndzy podhalańskiej, kiełbasy lisieckiej, chleba prądnickiego, oscypka czy obwarzanka krakowskiego.

Dzięki temu o rzędzińskim siuśpaju usłyszała cała Polska. Bo choć kiedyś potrawa z kaszy, śliwek, gruszek i miodu była bardzo popularna zwłaszcza na wsiach, gdzie mieszkańcy chętnie korzystali z darów natury, mając niezbędne składniki do zrobienia tego specjału pod ręką, to obecnie jest ona kompletnie zapomniana.

- Mam rodzinę i znajomych w innych częściach kraju. Kiedy opowiadam im o tym, że u nas na wigilię jemy kaszę z suszem, doprawioną miodem z wolańskich pasiek, to otwierają szeroko oczy ze zdziwienia. Zresztą nie trzeba wcale jechać daleko. Młodzi nie garną się do tego, aby przejmować tradycje kulinarne. Obawiam się, że jak nas zabraknie, to i o siuśpaju niewielu będzie pamiętać - mówi Jadwiga Tott, pełniąca obowiązki prezeski KGW w Woli Rzędzińskiej.

Skąd nazwa siuśpaj?

Trudno jednoznacznie wskazać, dlaczego kasza z suszem firmowana jest pod nazwą siuśpaj. Wiadomo, że potrawa przygotowywana jest według przepisu, który był znany już w drugiej połowie XIX wieku.

Z wywiadu etnograficznego, przeprowadzonego z mieszkańcami Woli Rzędzińskiej, wynika, że na kaszę z suszonymi śliwami i miodem mówiło się ciućpa, bo było wymieszane, a wyciućpaj znaczyło kiedyś wymieszaj. Słowo siuśpaj najprawdopodobniej pochodzi właśnie od tego określenia.

- Mój brat ożenił się z dziewczyną z Tarnowa. Przed pierwszymi świętami w nowym domu powiedział do niej: „Ty musisz jeszcze przygotować siuśpaj na wigilię". Zaskoczona dopytywała, co to jest? I tak to już przyjęło się na stałe. Pod taką nazwą zgłosiliśmy naszą kaszę z suszem na ministerialną listę produktów tradycyjnych, gdzie jest wpisana właśnie jako siuśpaj - tłumaczy Wiesława Mitera.

Panie z KGW w Woli Rzędzińskiej mają także w swoim menu inną potrawę o oryginalnej nazwie. To siuśbak. To bardzo sycąca masa z kaszy i fasoli z dodatkiem boczku i kawałków piersi kurczaka. Na wigilię się nie nadaje, ale już na pierwszy czy drugi dzień świąt jak najbardziej.

REKLAMA 0011455442

„Budowa Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego w SPWZOZ w Stargardzie – Inwestycja w zdrowie mieszkańców!"

Szpital w Stargardzie rozpoczął realizację projektu pn. „***Budowa Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego w SPWZOZ w Stargardzie w celu poprawy dostępności do opieki długoterminowej na terenie powiatu stargardzkiego***", którego dofinansowanie pochodzi ze środków Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności, w wyniku przeprowadzonego naboru w ramach Inwestycji D4.1.1 „Rozwój opieki długoterminowej poprzez modernizację infrastruktury podmiotów leczniczych na poziomie powiatowym". Umowa z Ministerstwem Zdrowia o Objęcie Wsparciem Przedsięwzięcia została zawarta w maju 2025 roku.

Celem głównym projektu jest poprawa dostępności do opieki długoterminowej na terenie województwa zachodniopomorskiego, w tym przede wszystkim powiatu stargardzkiego, co koresponduje z głównym zidentyfikowanym problemem, na który ma odpowiedzieć realizacja niniejszej inwestycji, a którym jest słaby dostęp do miejsc opieki długoterminowej na terenie województwa zachodniopomorskiego, które pod tym kątem zajmuje odległe 14. miejsce w kraju na tle wszystkich szesnastu województw.

W związku z tym, w ramach planowanej inwestycji, w październiku br. Wykonawca firma Adamietz Sp. z o.o. rozpoczął budowę nowego obiektu szpitalnego przy ul. Wojska Polskiego 27 w Stargardzie, w którym utworzony zostanie 35-łóżkowy Zakład Opiekuńczo-Leczniczy. Dodatkowo zaplanowano zakup niezbędnego do uruchomienia działalności ZOL wyposażenia medycznego, niemedycznego (w tym socjalno-bytowego i administracyjno-biurowego) oraz teleinformatycznego.

Główną grupą docelową, do której skierowana jest niniejsza inwestycja, z uwagi na specyfikę działalności ZOL, będą stanowiły osoby starsze zamieszkujące przede wszystkim powiat stargardzki. Ponadto projekt skierowany jest do pacjentów SPWZOZ w Stargardzie oraz kadry medycznej Szpitala. Dodatkowo w związku z planowanym utworzeniem i otwarciem 35-łóżkowego ZOL-u, Szpital zakłada zatrudnienie ok. 46-osobowego niezbędnego personelu do obsługi pacjentów nowo tworzonej komórki.

W wyniku realizacji inwestycji w strukturach SPWZOZ w Stargardzie, w nowo wybudowanym obiekcie, który zostanie wyposażony w niezbędny sprzęt i wyposażenie medyczne, świadczone będą usługi zdrowotne w zakresie stacjonarnej całodobowej opieki długoterminowej, finansowane ze środków NFZ.

Dofinansowanie inwestycji ze środków KPO wynosi 20 000 000,00 zł, a termin jej zakończenia wyznaczono na 30 czerwca 2026 roku.

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY
Rzeczpospolita Polska
Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU
Ministerstwo Zdrowia

eprasa.pl fc4eac13b3

KOSZALIN/SŁUPSK/SZCZECIN

tygodnik Regionów

Wtorek-piątek, 23-26.12.2025

IDĄ ŚWIĘTA
Narodziny Jezusa Chrystusa, poznajmy bohaterów drugiego planu szopki **str. 12**

POTRZEBNA POMOC
Ludzie dobrej woli pomagają rodzinie, aby mogła wysłać chorą córeczkę na leczenie **str. 18-19**

DO POCZYTANIA
Obyczaj, a może kryminał? Dobra lektura przyda się na świąteczno-noworoczny czas **str. 20**

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Boże Narodzenie w Ameryce Łacińskiej. Trochę jak nasze, trochę inne

Przyjechali do Słupska za pracą. Te święta spędzą z dala od rodzin, nie po raz pierwszy. Opowiadają, jak Boże Narodzenie świętuje się w Kostaryce i Peru **str. 14 i 16**

eprasa.pl fc4eac13b3

Narodziny Jezusa. Bohaterowie drugiego planu

Mariusz Grabowski
Boże Narodzenie

Spójrzmy na Narodziny Zbawiciela szerokim kątem. Prócz głównych postaci, które znalazły się przy żłóbku, są pielęgnujący Nowonarodzonego Maryja i Józef, grupa pasterzy-wybrańców, trzej egzotyczni Mędrcy z darami. Gdzieś nad nimi czuwa anioł Pański,

Ale wigilijna opowieść angażuje też postaci z drugiego planu, bez których byłaby niezrozumiała. To nie tylko osoby zaangażowane w akcję, ale też takie, bez których nie rozumielibyśmy kontekstu wydarzeń.

Poniżej dziesiątka z takich drugoplanowych bohaterów Ewangelii.

Św. Elżbieta

Matka św. Jana Chrzciciela, żona kapłana Zachariasza i krewna Maryi, Matki Zbawiciela. Wraz z mężem św. Zachariaszem mieszkała niedaleko Jerozolimy, według tradycji w dzisiejszej miejscowości Ain Karim. Urodziła dziecko mimo podeszłego wieku po tym, jak św. Zachariaszowi objawił się anioł w świątyni w Jerozolimie.

To do św. Elżbiety pielgrzymowała Maryja. Św. Łukasz pisze: „W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w pokoleniu Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę. Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę”.

W tradycji prawosławnej ciało św. Zachariasza, zabitego przez siepaczy Heroda odnaleziono w 415 r. i przewieziono do Konstantynopola, natomiast o relikwiach św. Elżbiety nic nie wiadomo.

Herod Wielki

Król Judei w latach 37-4 p.n.e, choć nie Żyd a Idumejczyk i śmiertelny wróg Jezusa. W Ewangelii św. Mateusza przedstawiony został wręcz jako tyran pragnący Go zgładzić, inicjator tzw. rzezi niewiniątek.

Zasięgnąwszy rady uczonych w Piśmie, skierował ich do Betlejem, mówiąc, by donieśli mu potem, aby i on mógł oddać pokłon. Mędrcy jednak inną drogą powrócili do swojej ziemi: „Wtedy Herod, widząc, że go Mędrcy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał [oprawców] do Betlejem i całej okolicy i kazał pozabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców”.

Pod koniec życia Herod dopuścił się wielu mordów, poszukując rzeczywistych lub domniemanych spisków, mogących pozbawić go władzy, m.in. zamordował swojego pierworodnego syna Antypatra (z pierwszej żony Doris). Zabił też jedną ze swoich żon oraz jej synów, brata i matkę, którą wydał na śmierć głodową w więzieniu.

Anioł Gabriel

Jest aniołem, a konkretniej archaniołem zwiastowania, zmartwychwstania, miłosierdzia, kary, śmierci i objawienia. W Nowym Testamencie Gabriel pojawia się dwukrotnie u św. Łukasza: pierwszy raz, gdy zwiastował św. Zachariaszowi w świątyni żydowskiej narodzenie św. Jana Chrzciciela oraz kiedy Najświętszej Maryi Pannie zwiastował narodzenie Jezusa.

Anioł rzekł do Maryi: „Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus (...) Na to Maryja rzekła do anioła: Jakże się to stanie, skoro nie znam męża? Anioł Jej odpowiedział: Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię” (Łk 1, 30-38).

Archanioł Gabriel w katolicyzmie jest patronem filatelistów, filumenistów, pracowników łączności, pocztowców, dyplomatów, teledetekcji, radia i telewizji. Ponadto został również wybrany na patrona CBA.

Cezar August

To za jego rządów wyszło rozporządzenie o spisie ludności w całym imperium. „Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida” - informuje św. Łukasz.

Gajusz Juliusz Cezar Oktawian miał w chwili narodzin Jezusa ok. 60 lat i oprócz wszystkich funkcji i honorów był także Najwyższym Kapłanem (Pontifex Maximus). Był to dożywotni urząd najwyższego zwierzchnika rzymskich kultów religijnych. A dokładnie 5 lutego 2 roku p.n.e. August przychylił się do prośby senatu i ludu rzymskiego i przyjął tytuł Pater Patriae - Ojca Ojczyzny. 1 sierpnia tego samego roku uroczyście otworzył świątynię Marsa Ultora, której zbudowanie ślubował przed czterdziestu laty, na polu bitwy pod Filippi.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Sandro Boticelli: „Mistyczne Narodziny”, obraz z ok. 1500 r. Znajduje się w National Gallery w Londynie

Św. Symeon

Spotykamy go w uroczystość Ofiarowania Pańskiego w świątyni w Jerozolimie, świętowanej zgodnie z prawem Mojżeszowym. 112-letni Św. Symeon bardzo chciał ujrzeć Zbawiciela i Bóg obiecał mu, że nie umrze dopóki nie zobaczy Jezusa. Gdy Maryja i Józef przyszli ofiarować Jezusa Bogu, Symeon ujrzał ich i rozpoznawszy w dziecku zbawienie, jak pisze św. Łukasz, z radością krzyczał:

„Teraz, o Władco,
pozwól odejść słudze Twemu w pokoju,
według Twojego słowa.
Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie,
któreś przygotował wobec wszystkich narodów:
światło na oświecenie pogan
i chwałę ludu Twojego, Izraela”.

Prorokini Anna

Niewiasta, którą wspomina św. Łukasz, która była obecna podczas Ofiarowania Jezusa w świątyni. Ewangelista podał nam jej wiek: miała 84 lata. Kobieta przez siedem lat była zamężna, potem owdowiała i poświęciła się służbie w świątyni, a po spotkaniu ze Świętą Rodziną głosiła wieść o zbawczym przyjściu Mesjasza.

Anna znalazła się m.in. na fresku „Ofiarowanie Jezusa w świątyni” Giotta di Bondone, namalowanym ok. 1305 r. dla kaplicy Scrovegnich w Padwie. Została nań przedstawiona jako stara przygarbiona kobieta ze zmęczoną, zaznaczoną bruzdami twarzą. Nad postaciami, po prawej stronie, widać anioła trzymającego gałązkę trójlistnej koniczyny, będącej symbolem Trójcy.

Kwiryniusz

Św. Łukasza, pisząc o spisie powszechnym, zauważa, że „Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz”. Co nieco o nim wiemy: Publiusz Sulpicjusz Kwiryniusz (ok. 51 r. p.n.e.-21 r. n.e.) był wojskowym i senatorem z czasów początku tzw. pryncypatu, czyli rządów cezara Augusta.

Głównym powodem, dla którego w imperium odbywały spisy ludności, był fiskalizm. Wśród różnych podatków, z jakimi mamy wówczas do czynienia w Syrii, m.in. pobierano podatek bezpośredni zwany „tributum capitis”. Był to podatek powszechny, płacili go mężczyźni w wieku od 14 do 65 lat i kobiety od 12 do lat 65.

Większość historyków uważa, że św. Łukasz odnosi się do spisu z 6 r. (tego wspomnianego także w Dziejach Apostolskich), błędnie umieszczając go za życia Heroda. Część zaś uważa, że nie pomylił się, lecz wspomniał o jakimś wcześniejszym spisie, nie zanotowanym przez historyków.

Karczmarz z Betlejem

Ten anonimowy przedsiębiorca przeszedł do historii powszechnej odmową udzielenia gościny św. Rodzinie. „Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” - pisze św. Łukasz.

Dorzućmy kilka faktów: podróż z Nazaretu do Betlejem wynosiła ok. 120 km. Noclegi dla podróżnych były prymitywne, a gospody wyglądały jak rząd otwartych pomieszczeń przypominających przegrody w stajni, które otaczały wspólny dziedziniec. Właściciel zajazdu dostarczał tylko paszę dla zwierząt i drewno na opał. Podróżni musieli sami zatroszczyć się o prowiant.

Jezus narodził się zatem prawdopodobnie w takim zatłoczonym i gwarnym zajedzie. „Żłobek” był drewnianym naczyniem służącym do podawania paszy zwierzętom gospodarskim.

Król Dawid

„Wybierali się więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta - pisze ewangelista. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida”.

Rodowód był u Żydów niezwykle ważny. Św. Mateusz rozpoczyna swoją genealogię od patriarchy Abrahama i poprzez króla Dawida i jego syna Salomona prowadzi ją, zachowując legalną dość linię dynastyczną, przez Jojakina aż do Józefa, męża Marii i przybranego ojca Jezusa.

Prowadząc od Abrahama, przez Dawida, aż do Józefa, męża Maryi, rodowód potwierdza, że Jezus jest - jak będą nieraz o Nim mówić - „Synem Dawida”. To właśnie prawne (bo nie biologiczne) ojcostwo Józefa, potomka Dawida, daje Jezusowi ten tytuł. Tym samym Jezus staje się dziedzicem obietnic danych Dawidowi i - jak się okaże - przyniesie ich wypełnienie.

Św. Jan Chrzciciel

Syn św. Elżbiety, rówieśnik Jezusa i ten, który prorokował Jego Przyjście. Przez wielu początkowy uznawany był za Mesjasza, czemu zaprzeczał. W Ewangelii św. Mateusza Jezus określił św. Jana jako swego poprzednika i największego człowieka, który kiedykolwiek narodził się na ziemi:

„Po coście więc wyszli? Proroka zobaczyć? Tak, powiadam wam, nawet więcej niż proroka. On jest tym, o którym napisano: Oto Ja posyłam mego wysłańca przed Tobą, aby Ci przygotował drogę. Zaprawdę, powiadam wam: Między narodzonymi z niewiast nie powstał większy od Jana Chrzciciela”.

Św. Jan został ścięty ok. 32 r. z rozkazu Heroda Antypasa, syna Heroda Wielkiego. „Posłał więc kata i kazał ściąć Jana w więzieniu. Przyniesiono głowę jego na misie” - pisze św. Mateusz. Część relikwii: prawa ręka, tzw. Prawica-która-ochrzciła-Pana, która była przez wieki główną relikwią zakonu joannitów znajduje się dziś w soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie. ©℗

eprasa.pl fc4eac13b3

Niełatwo było być dzieckiem w starożytnej Judei

Mariusz Grabowski
Polska

Podstawowymi celami życia pobożnego Żyda w czasach Jezusa było dochować wiary i założyć rodzinę – tak rozumiano realizację nakazu Bożego. Dlatego dzieci były zawsze chciane i oczekiwane. Gorzej było z ich traktowaniem.

Już w Księdze Rodzaju zapisano strategiczny, perspektywiczny plan dla Narodu Wybranego: „Po czym Bóg im błogosławił i powiedział do nich: »Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną«" (Rdz l, 28).

Lepszy byłby syn

Można rzec, że dzieci, część wielkiej wielopokoleniowej rodziny izraelskiej, były ważnym elementem owego planu. To w rodzinie przychodziły na świat, wzrastały, pod kierunkiem rodziców wychowywały się i przygotowywały do przyszłych zadań i obowiązków. W czasach Nowego Testamentu sytuacja ta uległa zmianie tylko w niewielkim stopniu, a nowa sytuacja wiązała się z głoszeniem Ewangelii do pogan w świecie grecko-rzymskim.

Co ważne – córki nie były witane w rodzinie z taką radością jak synowie. Powodów było wiele. Z chwilą zawarcia małżeństwa żona przechodziła do domu męża i była stracona dla rodziny; córki nie mogły też dziedziczyć. Nadto dziewczyny narażone były na wiele innych niebezpieczeństw: mogły nie wyjść za mąż, pozostając samotne w domu rodzinnym, mogły też zostać uwiedzione. W przypadku, gdy kobieta zostawała bezdzietną wdową lub została odesłana przez męża, wracała do domu rodzinnego.

Zdecydowanie lepsza była sytuacja życiowa synów. Przywilejami cieszył się w rodzinie przede wszystkim pierworodny, który za życia ojca miał pierwszeństwo przed swymi braćmi, zaś po jego śmierci dziedziczył dwukrotnie więcej od braci i stawał się głową rodziny.

Imię jest ważne

W tekście „Małżeństwo i rodzina w kulturze starożytnego Izraela" ks. Bogdan Wiktor Matysiak pisze: „Narodziny dziecka zawsze były w rodzinie wielkim wydarzeniem (...). Po porodzie matka i dziecko podlegały szczególnym przepisom prawa izraelskiego. Przez fakt narodzin matka zaciągała na siebie nieczystość rytualną, tzn. nie mogła brać udziału w aktach kultu. Po urodzeniu chłopca pozostawała nieczysta siedem dni, a okres jej oczyszczania trwał cały miesiąc. Po urodzeniu zaś dziewczynki okres nieczystości rytualnej trwał dwa razy dłużej: dwa tygodnie i dwa miesiące. Bezpośrednio po urodzeniu się dziecko otrzymywało imię, które zwyczajowo było wybierane przez matkę, a tylko okazyjnie nadawał je ojciec".

I dalej: „W kulturze izraelskiej, podobnie jak na całym starożytnym Bliskim Wschodzie, nadanie komuś imienia oznaczało przejęcie nad nim władzy; odnosiło się to do ludzi, zwierząt i przedmiotów. Imię było także wyrażeniem związanej z daną osobą nadziei lub jej symbolem. Stąd też nadawano imiona na podstawie zaistniałych zdarzeń podczas porodu, zachowania się dziecka: Nachor (»chrapacz«) czy Paseach (»chromy«)".

Chłopców w ósmym dniu obrzezywano. Był to znak włączenia we wspólnotę narodu wybranego. Ów obrzęd był na tyle istotny, że dokonywano go ósmego dnia nawet wtedy, gdy dzień ten przypadał w szabat. Tak, choć jeszcze nieświadomie, malec wkraczał w przestrzeń religii i wiary.

Wychowanie

Dzieci żydowskie uczyły się i wychowywały w klimacie, który nazwalibyśmy dziś konserwatyzmem religijnym – w rodzinie, pracując i modląc się razem z rodzicami i krewnymi. Dorastające dzieci, chłopcy i dziewczynki, były bezpośrednio zapoznawane z pracami i przyszłymi zadaniami, pomagali w polu i w domu, często doglądały trzód, co dotyczyło również dziewcząt. Dziewczynki pozostawały w okresie dzieciństwa i młodości pod opieką matki tak, iż nawet zachowało się przysłowie: „Jaka matka, taka córka".

Dziewczynki uczyły się prowadzić dom: gotowania, szycia i tkactwa, gospodarstwa domowego i uprawy roli. Pasterstwo, prace na roli i przy żniwach również należały do dziewczęcych obowiązków. Okres dzieciństwa miał przygotować córkę do przeszłej roli żony i matki, a wychowanie córki było powierzone w praktyce jej matce.

„Niemowlęta płci męskiej pozostawały pod opieką matki do trzeciego roku życia i dlatego pomiędzy chłopcem i matką powstawały nieraz silne związki uczuciowe. Wychowanie chłopca dokonywało się jednak pod kierunkiem ojca rodziny, który miał obowiązek, jak później sformułowali to rabini, »nauczyć syna Prawa, dać mu żonę oraz nauczyć go zawodu«".

Jezus, syn cieśli

Można stwierdzić, że to przede wszystkim ojciec wprowadzał synów w znajomość Prawa Mojżeszowego. Ojciec także własnym przykładem i objaśniającym, oszczędnym słowem pouczał syna o pracach domowych i zajęciach gospodarskich, prawach i obowiązkach mężczyzny, tradycjach narodowych. W ten sposób wiedza historyczna i geograficzna, doświadczenie mądrościowe, tradycje narodowe, a także – co należy podkreślić – tradycje religijne przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Potwierdza to św. Łukasz: „A gdy wypełnili wszystko według Prawa Pańskiego, wrócili do Galilei, do swego miasta – Nazaretu. Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napełniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim". Bóg był wychowawcą i zarazem treścią wychowania. W wieku trzynastu lat chłopiec osiągał dojrzałość fizyczną i odtąd był zobowiązany do zachowania postanowień Prawa. Ojciec przekazywał mu przeważnie swój zawód, gdzie nabywał praktycznych umiejętności. Przykładem Jezus, który był synem cieśli, lub synowie rybaka Zebedeusza.

Dziecko było darem Boga, lecz nie miało ono własnych praw, lecz było całkowicie zależne od swych rodziców. Oni chronili je, opiekowali się nim i łożyli na jego utrzymanie. Teksty biblijne mówią o tym, że stopniowo stawiano dzieciom wymagania, a w sytuacji krnąbrności nie cofano się przed karaniem. To ostatnie traktowano jako konieczną metodę wychowawczą, stosowaną wtedy, gdy słowo zawodziło. Miało ono przełamać upór i brak szacunku.

Twarde zasady

Przez całe więc także dorosłe życie dzieci zobowiązane były do okazywania rodzicom i starszym pokoleniom posłuszeństwa i szacunku. Czwarte przykazanie Dekalogu dowodzi, że owa karność względem rodziców była czymś naturalnym i oczywistym, zaś autor „Księgi Syracha" wzywa wręcz do częstego karcenia dzieci, przestrzegając przed rozpieszczaniem i pobłażaniem. Rozpieszczone dziecko bowiem „może wprawić ojca w osłupienie i sprawić mu smutek".

Biblia mówi niewiele na temat dziecięcych zabaw, chociaż z pewnością były one znane. Tak np. dziewczynki miały swoje drobne radości: koleżanki i przyjaciółki, gry i zabawy, tańce. W Starym Testamencie mamy także wzmiankę o zawodach sportowych między chłopcami. W większych miastach znajdowały się stadiony i miejsca ćwiczeń fizycznych. Korzystała z nich zhellenizowana część społeczeństwa, w tym młodzież. Żydzi religijni stronili jednak od pogańskich wpływów i mieli do tych rozrywek spory dystans – w obawie przed złym wpływem pogańskich zwyczajów i wierzeń. Domyślać się jednak możemy, że bieganie po otwartej przestrzeni, gonitwa czy zapasy niewątpliwie były obecne we wspólnych zabawach.

FOT. NAC

Dzieci żydowskie uczyły się w klimacie, który nazwalibyśmy dziś konserwatyzmem religijnym. (ilustracja: Simon Bening „Jezus nauczający w świątyni")

Wkuwanie tekstów

Nauka rozpoczynała się już w domu, od najmłodszych lat, a szczególną okazją do kształtowania wiary dziecka było wspólne świętowanie, podczas którego tłumaczono mu znaczenie poszczególnych świąt. Opowiadano też o dziejach narodu wybranego i o tym, co Bóg uczynił dla przodków. Ale edukacja nie kończyła się na domu. W Palestynie w czasach Jezusa istniały także szkoły. Znany jest dokument wydany przez arcykapłana Jozuego Ben Gamala z 64 r., który wzywał rodziców, by posyłali swych synów do szkół. Wspomina on także o karach nakładanych na niesolidnych uczniów oraz na tych, którzy uciekali z zajęć, bo i tacy się zdarzali.

„Nauka szkolna w początkowym stadium polegała na powtarzaniu i przyswajaniu kwestii podawanych przez nauczyciela. Zapoznawano się również z alfabetem. Podstawą do ukazywania uczniom świata były księgi Pisma Świętego. Zakres zdobywanej wiedzy i poziom wykształcenia zależały natomiast w dużej mierze od zamożności i statusu społecznego rodziców ucznia i jego możliwości intelektualnych" – pisze ks. Krzysztof Kowalik w „Życiu dzieci w Ziemi Świętej w czasach Jezusa".

„Pozwólcie dzieciom..."

Ów wspomniany nakaz arcykapłana mówi również o możliwości dalszego kształcenia w przypadku uczniów bardziej uzdolnionych. Na takich uczniów zwracano uwagę. Wskazuje na to opis rozmowy młodocianego jeszcze Jezusa z uczonymi w świątyni. Oni dostrzegają bystrość Jego umysłu i mądrze stawiane pytania (por. Łk 2, 46-47). Niekiedy w dalszej edukacji sięgano i do kultury hellenistycznej. Świadczy o tym wykształcenie św. Pawła.

Na „nową" pozycję dziecka w społeczeństwie wskazuje sam Jezus. Przedstawia to scena, w której błogosławi On dzieci i krytykuje sprzeciwiających się przeciw temu uczniów. Co ciekawe: nie ma tu rozróżnienia między chłopcami a dziewczynkami. Tym samym każde dziecko jednakowo jest ukazane jako pełnoprawny uczestnik królestwa Bożego (por. Mk 10, 13-16).

Jeszcze bardziej wymowny w tej kwestii będzie fragment „Listu do Hebrajczyków", który zaznacza, że dzieci na równi z dorosłymi uczestniczą w owocach zbawienia. Pamiętano jednak, że dzieci nie są jeszcze w pełni dojrzałe i samodzielne. Stąd wzywano je do posłuszeństwa rodzicielskim nakazom, by dorastały do samodzielności, jak to czytamy w „Liście do Kolosan". ©℗

eprasa.pl fc4eac13b3

Boże Narodzenie w Kostaryce: ciepło, rodzina i tradycje

Ángels Benavides
Kostaryka/Słupsk

W Kostaryce Boże Narodzenie, podobnie jak w Polsce, obchodzone jest z wielką radością, jednością rodzinną i głębokimi tradycjami kulturowymi, pomimo tropikalnego klimatu. Od początku grudnia miasta wypełniają się światłami, muzyką i wyjątkowymi wydarzeniami.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Przedświąteczne parady

Festiwal Świateł - to nocna parada rozświetlonych platform, która gromadzi rodziny z całego kraju. (Co ciekawe, to wydarzenie, ze względu na liczebność obywateli z Ameryki Południowej w regionie, organizuje również Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej w Słupsku - dop. red.).

Tope i Toros a la Tica: Tope to parada koni, która celebruje nasze korzenie. Toros a la Tica to parada byków. Również stanowią ważną część przedświątecznych obchodów, ale w przeciwieństwie do innych krajów, w Kostaryce zwierzę nie jest składane w ofierze. Nacisk kładziony jest na rozrywkę i szacunek dla jego dobrostanu.

Te uroczystości odzwierciedlają świątecznego ducha i kulturowe zaangażowanie kraju w okresie Bożego Narodzenia.

Moje rodzinne Boże Narodzenie: serce świętowania

W mojej rodzinie Boże Narodzenie to czas dzielenia się, dziękczynienia i bycia razem.

Spotykamy się w domu moich dziadków, udekorowanym światłami, ozdobami i choinką z prezentami pod spodem, co tworzy ciepłą i wyjątkową atmosferę.

Główne obchody odbywają się w Wigilię, 24 grudnia, chociaż świętujemy również samo Boże Narodzenie.

Jedzenie jest niezbędne w kostarykańskich świętach Bożego Narodzenia. Nie brakuje tamales, rompope (rodzaj ajerkoniaku), ciasta świątecznego i wina, zwłaszcza podczas tradycyjnego rodzinnego święta tamales. O północy puszczamy fajerwerki, to tradycja, którą bardzo lubię z moim starszym bratem.

Kupujemy też prezenty, głównie dla moich siostrzenic, które w niektórych rodzinach przynosi Święty Mikołaj, a w innych Dzieciątko Jezus. Wiele dzieci pisze listy z życzeniami na ten wyjątkowy czas w roku.

W Kostaryce wiele osób uczestniczy w pasterce, mszy katolickiej odprawianej o północy 24 grudnia (Wigilia). W kościołach wystawiane są szopki, symbolizujące narodziny Jezusa i stanowiące ważną część tradycji bożonarodzeniowej.

Moja rodzina lubi celebrować ten czas, gromadząc się razem, dzieląc się i wzmacniając więzi.

Wszystkiego najlepszego

Niech te święta przyniosą Wam jedność, radość i nowe początki. Bardzo dziękuję za przeczytanie i za umożliwienie mi podzielenia się moimi tradycjami. Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej o mojej pracy jako coacha życiowego i moich studiach psychologicznych, znajdziesz mnie na Facebooku jako Benavides Ángels.

©℗

O AUTORCE

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Cześć, nazywam się Ángels Benavides (znana również jako Kenia). Pochodzę z Kostaryki i obecnie mieszkam w Słupsku. Kończę psychologię na Uniwersytecie Fidélitas i mam wielkie marzenie o podyplomowych studiach psychologii społecznej w Gdańsku. Oprócz wykształcenia akademickiego, jestem coachem i pasjonuję się poznawaniem ludzkich historii i doświadczeń. Polska stała się dla mnie miejscem wyjątkowym. Jej kultura, historia, a przede wszystkim serdeczność mieszkańców – szczególnie w Słupsku – sprawiły, że poczułam się jak w domu.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl fc4eac13b3

REKLAMA

0011438896

Joselyn del Rosario Álvarez Calderón Bacilio
Peru/ Słupsk

W Peru święta pachną panetónem. Trudno jednak nie widzieć biedy i wyzysku dzieci

Peru to bardzo rozległy i wielokulturowy kraj, więc święta różnią się w zależności od regionu - mówi Joselyn del Rosario, peruwiańska antropolożka mieszkająca w Słupsku.

Żeby to lepiej zrozumieć, zacznę od naszych trzech głównych stref i porównam je z polskimi miejscami.

Peruwiańskie wybrzeże, ciepłe i suche, przypomina polskie miasta jak Poznań czy Wrocław latem.

Andy, zimne i górzyste, kojarzą się z Zakopanem.

Peruwiańska dżungla, tropikalna i wilgotna, nie ma dokładnego odpowiednika w Polsce, ale częściowo można ją porównać do gęstych lasów Białowieży czy Mazur, choć te nie są tropikalne.

Święto przywieźli konkwistadorzy

Z powodu różnic klimatycznych i geograficznych, Boże Narodzenie obchodzimy zupełnie inaczej w każdej części Peru. Warto dodać, że to święto nie pochodzi z naszej kultury, przyjęliśmy je z Europy i Ameryki pod wpływem hiszpańskiej inwazji, która siłą narzuciła nam katolicyzm, historię narodzenia Jezusa, msze w kościele, dekoracje, prezenty i kolędy. Później, dzięki globalizacji, poznaliśmy Świętego Mikołaja ze świątecznych filmów - ze śniegiem, kominami i scenami rodzin otwierających paczki przy gorącej czekoladzie.

Wyobraź sobie picie gorącej czekolady w suchym upale wybrzeża czy w dusznej wilgoci dżungli. Brzmi dziwnie, ale tak mamy w Peru. Mimo to w grudniu zawsze czujemy, że coś nie do końca do nas pasuje, bo ta tradycja nie wyrasta z naszej historii ani kultury.

Problem ze Świętym Mikołajem

Jeśli pytacie, czy w Peru wierzymy w Mikołaja, powiem, że większość dzieciaków marzy o nim, ale dorośli często nie, bo u nas nie ma śniegu, kominów, a nasze zwyczaje mieszają się z lokalną tożsamością, tworząc święta inne niż w filmach czy tu, w Polsce. Chociaż większość Peruwiańczyków to katolicy, więc podobieństwa są: dekoracje, wieniec adwentowy, wizyty w kościele, szopki.

Dorośli Peruwiańczycy mówią: „Boże Narodzenie jest dla dzieci", i to prawda. Święta są dla nich, ale trudno utrzymać wiarę w Mikołaja czy świąteczną magię, gdy wiele dzieciaków pracuje od najmłodszych lat. Ameryka Łacińska ma wiele problemów: ogromne nierówności, bogaci obok tych, co nie mają nic.

Na ulicach Peru w grudniu dzieci sprzedają zapałki, petardy, kadzidła czy słodycze albo pomagają matkom na jarmarkach i targach. Często widać sieroty w sklepach, myjące auta czy robiące drobne prace. Myślę, że wiele z nich nie zna tradycji pisania listów do Mikołaja - ich marzenia to nie zabawki, ale zmiana losu, „filmowe święta" czy choć ciepła kolacja i rodzinny uścisk.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Aromaty świąt i szopka

Ale święta i tak przychodzą. Ulice pachną chlebem, kadzidłem i panetónem (słodki chleb bożonarodzeniowy) - po tym aromacie wiemy, że jest grudzień.

W moim Huancayo większość domów nie ma pieca, ale są komunalne piekarnie, gdzie ludzie zbierają się, by piec panetón i tradycyjną tantę wawę - słodki chleb z mąki kukurydzianej, bez drożdży.

W dni przed świętami rodziny stroją choinkę i szopkę. Peruwiańska szopka jest wyjątkowa: kupujemy gipsowe figurki z Jezusem, często z lamami, alpakami, Andkami w strojach cholita czy andyjskimi krajobrazami. Dzieciątka nie stawiamy w szopce od razu, czeka do północy 24 grudnia. W niektórych domach urządzamy konkursy na najpiękniejszą dekorację i szopkę.

Wigilijna kolacja

Na Wigilię, o północy, spotykamy się u krewnych, gospodarza losujemy. Tego dnia ulice wypełniają stragany z lampkami, ozdobami, sztucznymi choinkami i fajerwerkami. To wir kolorów, hałasu i zapachów, wysiłek milionów rodzin, by świętować, dużo czy mało.

Rodziny zbierają się na kolację: indyk, pieczona wieprzowina czy asado z puree ziemniaczanym i ryżem. Jedzenie wyjmują z pieca godzinę przed północą. Panie chodzą po swoje wypieki do piekarni. Nie może brakować gorącej czekolady z cynamonem, goździkami i mlekiem, plus panetón.

O północy dorośli dają prezenty dzieciom. Rodzice mówią: „Mikołaj był zajęty, poprosił nas o pomoc". Dzieci otwierają paczki po jedzeniu, dlatego Mikołaj u nas to bardziej iluzja.

Świętowanie od północy

W Peru nie odpoczywamy po kolacji. Odliczamy: 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1... i jest północ, 25 grudnia. Ludzie wychodzą na ulice, witają sąsiadów, sklepy otwarte, dzieciaki puszczają fajerwerki. W domach gra muzyka, często cumbia, choć to zależy od rodziny.

Rano odwiedzamy tych krewnych, z którymi nie było nas o północy, i szykujemy słynną pachamankę - flagowe danie Huancayo.

Pachamanka symbolizuje rodzinę, bo wszyscy muszą pomóc. Mężczyźni kopią dół, wybierają specjalne kamienie (złe pękają od żaru), palą drewno, aż się rozgrzeją. Kobiety marynują jagnięcinę, wieprzowinę, kurczaka czy wołowinę w andyjskich ziołach, ají, czosnku i soli. Przygotowują ziemniaki, kukurydzę, fasolę. Dzieci pomagają - ich małe rączki idealne do obierania kukurydzy i humitas. Na gorące kamienie idą mięsa i warzywa, przykryte liśćmi, mokrymi workami i ziemią. Gotuje się kilka godzin. Gdy otwieramy, wszyscy dzielimy się jedzeniem. To piękny rytuał jedności rodzinnej.

Mój pierwszy śnieg

Na wybrzeżu 25 grudnia to plaża - letni dzień nad morzem z ceviche (sałatka z owocami morza). Nikt nie próżnuje: chaos, ale piękny, wciągający. Inaczej niż w Polsce, gdzie święta są cichsze, bardziej kameralne.

Mieszkam w Polsce trzy lata, w Słupsku, i pamiętam pierwszy śnieg. Pracowałam w fabryce ryb, w porze lunchu stanęliśmy, patrząc, jak pada przy pomarańczowym zachodzie. Pierwszy raz dotknęłam śniegu, czułam się jak w filmie: biel i błysk to czysta magia.

Potem znienawidziłam zimno, ale ten moment został. Przeżyłam to, co znałam z filmów, choć bez rodziny, tylko z peruwiańskimi kumplami, którzy jak ja przyjechali tu po lepsze życie i by pomóc bliskim.

Chciałabym, by moja rodzina zobaczyła i poczuła to, co ja, choć czasem melancholijnie. W Słupsku tworzymy więzi: przyjaciele stają się rodziną. Razem próbujemy odtworzyć nasze święta, by być bliżej domu.

©℗

eprasa.pl fc4eac13b3

MATERIAŁ INFORMACYJNY GAZ-SYSTEM

0011446900

10 lat Terminala LNG w Świnoujściu – energia dla kraju i społeczności

11 grudnia br. minęło 10 lat od pierwszej dostawy skroplonego gazu ziemnego (LNG) do Terminala w Świnoujściu – miejsca, które stało się symbolem niezależności energetycznej Polski i partnerstwa z lokalną społecznością. GAZ-SYSTEM od lat wspiera region, angażując się w projekty edukacyjne, sportowe i kulturalne, pokazując, że strategiczna inwestycja może iść w parze z realnymi korzyściami dla mieszkańców.

Terminal w Świnoujściu to nie tylko historia minionej dekady, lecz przede wszystkim zapowiedź przyszłości. Plany budowy kolejnego - pływającego terminala FSRU w Zatoce Gdańskiej - wraz z powstałymi nowymi połączeniami przesyłowymi tworzą elastyczny i nowoczesny system energetyczny, który pozwala Polsce pewnie wkroczyć w kolejne lata transformacji i rozwoju regionalnej współpracy.

Rola terminala dla Polski i regionu

Terminal LNG jest kluczowym punktem wejścia gazu do krajowego systemu przesyłowego, umożliwia przyjęcie dostaw LNG z różnych kierunków – od USA, Kataru, Norwegii po Afrykę – i wyróżnia się wyjątkową elastycznością pracy. Instalacja może osiągnąć maksymalną regazyfikację już w ciągu czterech godzin od zatrzymania, co ma istotne znaczenie dla stabilności dostaw. Terminal jest też największym w kraju dostawcą usługi załadunku LNG na autocysterny, obsługując m.in. Niemcy, Czechy i Słowację.

- Terminal LNG w Świnoujściu to nie tylko kluczowy element krajowego systemu przesyłowego, który zapewnia dywersyfikację kierunków i źródeł gazu do Polski. To motywacja do dalszego działania, jakim jest zwiększanie mocy regazyfikacyjnych w Polsce poprzez budowę pływającego terminala FSRU w Zatoce Gdańskiej. To inspiracja do realizacji śmiałych zamierzeń i budowania mocnej pozycji gazowej Polski w regionie, czyli utworzenia hubu gazowego. W spółce intensywnie pracujemy przy tych projektach, tak abyśmy mogli kolejny raz z dumą pokazywać Europie i światu osiągnięcia naszych projektantów i inżynierów. Takie projekty zwiększają naszą niezależność, zapewniają stabilność zasilania w energię i ciepło oraz budują konkurencyjność naszej gospodarki - podkreślił Adam Bryszewski, Wiceprezes Zarządu GAZ-SYSTEM.

Korzyści dla lokalnej społeczności

Terminal to nie tylko strategiczna inwestycja, ale też wsparcie dla Świnoujścia i regionu. GAZ-SYSTEM od lat angażuje się w lokalne inicjatywy: kulturalne, sportowe i edukacyjne. Współpraca obejmuje straż pożarną, graniczną, policję oraz lokalne szkoły i stowarzyszenia. Dzięki temu powstają nowe projekty edukacyjne, zakupiony jest sprzęt sportowy i medyczny, a mieszkańcy mają okazję uczestniczyć w wydarzeniach społecznych, piknikach osiedlowych czy meczach piłkarskich.

– Wspieranie lokalnej społeczności oraz dialog z naszymi lokalnymi partnerami są wpisane w misję i strategię spółki – podkreśla Iwona Dominiak, rzeczniczka spółki. – Chcemy, by Świnoujście i okolice czerpały realne korzyści z naszej obecności.

Nowe perspektywy i regionalny hub gazowy

Obecna przepustowość terminala wynosi 8,3 mld m³ rocznie. Uruchomienie pływającego FSRU w 2028 r. doda kolejne 6,1 mld m³, zwiększając liczbę możliwych dostaw LNG z 80 do nawet 140 rocznie. Część ładunków będzie mogła trafiać do państw regionu, co wzmocni pozycję Polski jako kluczowego gwaranta bezpieczeństwa energetycznego Europy Środkowej.

Nowy terminal w Zatoce Gdańskiej umożliwi również obsługę zimowego „szczytu" zapotrzebowania w regionie, dodatkową przestrzeń dla dostaw kontraktowych i spotowych oraz zwiększy elastyczność pracy systemu. Dzięki rozbudowie sieci przesyłowej Polska staje się naturalnym hubem gazowym Europy Środkowo-Wschodniej, umożliwiając przesył gazu do Czech, Słowacji, Litwy, Ukrainy i Niemiec.

Dziesięć lat Terminala LNG w Świnoujściu to dziesięć lat budowania bezpieczeństwa energetycznego Polski i regionalnej pozycji kraju w Europie. Dzięki inwestycji GAZ-SYSTEM Polska może patrzeć w przyszłość z pewnością i spokojem, jednocześnie wspierając rozwój lokalnej społeczności.

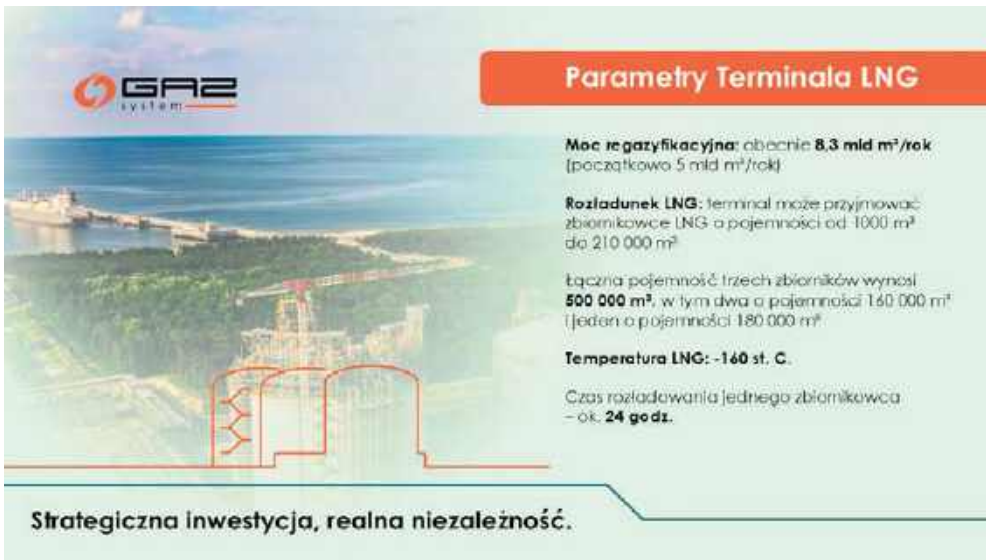

eprasa.pl fc4eac13b3

Głos Dziennik Pomorza
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

„Houston, mamy problem". Zosia musi tam lecieć po życie

Radosław Konczyński
Malbork

Zosia Lewandowska przez większość życia, które trwa prawie osiem lat, walczy ze złośliwym rakiem wątroby. Niedawno rodzice usłyszeli, że możliwości leczenia córki w Polsce się wyczerpały. Nadziei, mającej bardzo wysoką cenę, trzeba szukać już nawet nie w Europie, a w Stanach Zjednoczonych. Dla pięcioosobowej rodziny zebranie niemal czterech milionów złotych graniczy z cudem, ale mnóstwo ludzi angażuje się w to, by ten cud jednak się ziścił. Problem w tym, że do celu jeszcze dużo brakuje, a czas się kończy...

FOT. RADOSŁAW KONCZYŃSKI

Jedną z akcji podjętych na rzecz małej Zosi był I Malborski Maraton Lepienia Pierogów

Malbork, ulica Sadowa, ogrody działkowe, ranek 17 grudnia: - Proszę pana, po te pierogi to tędy? - Tędy. Prosto do Domu Działkowca.

Droga na terenie Rodzinnego Ogrodu Działkowego „1 Maja" w Malborku stała się ostatnio jedną z najbardziej ruchliwych w mieście. Nawet jeśli ktoś nie lubi pierogów ani ich nie potrzebował, podjeżdżał do Domu Działkowca przy ulicy Sadowej, żeby kupić i dołożyć się w szczytnym celu, w jakim został zorganizowany I Malborski Maraton Lepienia Pierogów dla Zosi Lewandowskiej. Żeby ulepić kolejną dawkę nadziei dla dziecka, które musi lecieć do Stanów Zjednoczonych, żeby przeżyć.

Rzadko spotykany „przypadek"

Zosia Lewandowska, drobna dziewczynka. Znaki charakterystyczne: uśmiech prawie nieschodzący z twarzy, przytulasy.

- Jest kochana, w szkole lubi się do wszystkich przytulać - mówiła niedawno, podczas malborskiego Dnia Wolontariusza, Asia z Zespołu Szkół Katolickich w Malborku, który już dzisiaj po raz kolejny włączy się w akcję pomagania swojej uczennicy.

Przytulała się też do wszystkich rok temu podczas koncertu charytatywnego zorganizowanego z myślą o niej w „katoliku". Przytulała się niedawno podczas turnieju piłki nożnej w Zespole Szkół Technicznych w Malborku, gdzie oldboje, mężczyźni przeważnie w średnim wieku, patrzyli ze łzami w oczach, jak od drużyny z Nowego Dworu Gdańskiego dostaje misia prawie swojej wielkości. A potem biegała z nim po sali. Jak gdyby nigdy nic. Ale jednak COŚ. Wątroba...

Wątroba z definicji: jeden z najważniejszych narządów w naszym ciele, położony w górnej części brzucha, po prawej stronie, pod przeponą. Pełni wiele istotnych funkcji dla prawidłowego funkcjonowania organizmu. Bez jej sprawnej pracy niemożliwe byłoby m.in. skuteczne usuwanie toksyn, trawienie tłuszczów. Niestety, w przypadku Zosi nie działa tak, jak powinna, zaatakowana przez nowotwór. Hepatoblastoma w czwartym stadium: najgorsze, śmiertelnie groźnie.

- Przy pierwszej wznowie powiedziano nam, że takich przypadków na świecie jest 67. Jak była druga wznowa, lekarz powiedział: „Znaleźliśmy w wyrostku robaczkowym, ale to jest niemożliwe, to byłby jedyny taki przypadek na świecie". I niestety potwierdziło się, że nasza Zosia jest tym „przypadkiem". Tak naprawdę trudno jest powiedzieć, z czym walczymy i jak walczyć - tłumaczył nam Krzysztof Lewandowski, tata dziewczynki, kilka miesięcy temu.

Wtedy już było wiadomo, że w Polsce możliwości leczenia się skończą. Choroba tak rzadko występuje, jest tak mało dzieci, które by chorowały na ten wariant raka wątroby, że brakuje statystyk, więc nie ma punktu odniesienia. Ostateczną pewność, że ratunku można już tylko szukać w Stanach Zjednoczonych, rodzice mają od niespełna dwóch miesięcy. Trzecia wznowa. Chyba nie trzeba szczególnie tłumaczyć, co to oznacza...

- 31 października br. wróciliśmy do domu ze szpitala, założyliśmy od razu stronę dla Zosi na Siepomaga.pl i zajęliśmy się sprawą. Powiedziano nam, że w tym momencie kończy się możliwość leczenia w Polsce. Wcześniej rozmawialiśmy z panią doktor, która szukała kontaktów, możliwości leczenia za granicą. Byliśmy przerażeni kwotą, gdy ją poznaliśmy. 1 milion dolarów. 31 października powiedziano nam, że mamy cztery miesiące na jej zebranie. Idealnie by było, gdyby na początku marca udało się to mieć. Przekazujemy je i wtedy rozpoczyna się procedura, z wizami włącznie - wyjaśnia Krzysztof Lewandowski.

Lekarze stwierdzili, że na Zosię obecne leczenie chemioterapią jest za mało skuteczne i należy zastosować nowoczesną terapią, CAR-T

Nawet Amerykanina nie byłoby stać

Zbiórka internetowa trwa na Siepomaga.pl. Zosia jest też podopieczną Fundacji „Kawałek Nieba". Obecnie daje to kwotę ok. 1 miliona, ale złotych. Przy dzisiejszym kursie walut potrzeba około 3,6 mln zł. Ale jest zbyt wiele niewiadomych co do kosztów, długości leczenia daleko od domu, dlatego bezpieczniej było założyć 4 mln zł. Łatwo policzyć, jak dużo potrzeba. Chociaż tata dziewczynki inaczej na to patrzy: cieszy się, że już tyle udało się zebrać.

- Jak zakładaliśmy konto przy „Kawałku Nieba", to mieliśmy nadzieję, że po pół roku wszystko się skończy. Tak naprawdę Zosia zachorowała w 2020 roku, a my konto zakładaliśmy pod koniec 2021 roku i wyłącznie dlatego, że wszyscy dookoła nam mówili: „Załóż, bo wam się przyda". Ale myśleliśmy: „Do czego nam się przyda?", leczenie mamy, więc wszystko będzie okej. Za pół roku, może rok wrócimy do normalności. Takie było nasze myślenie - mówi pan Krzysztof. - Terapia w USA może trwać od miesiąca do dwóch. I podejrzewam, że stąd tak duże koszty. Musimy tam pojechać, gdzieś przenocować, za coś żyć. No i sam problem jest też taki, że to jest nowatorskie badanie kliniczne. U nas nie jest refundowane, dlatego te koszty są kolosalne. Nawet dla przeciętnego Amerykanina nie są to normalne pieniądze.

Rodzice Zosi są nauczycielami.

- Wcześniej, jak Zosia miała drugą wznowę, byłem na zwolnieniu lekarskim, bo miałem taką możliwość. Wtedy siedzieliśmy bardzo długo w szpitalu. No ale trzeba pracować, trzeba zarabiać, trzeba żyć. Już pracujemy normalnie obydwoje - mówi Krzysztof Lewandowski.

Początkowo celem zbiórki miała być klinika w Bostonie, ale w ciągu ostatniego roku nastąpiła zmiana.

- Wcześniej mieliśmy informację, że to ma być Boston. Pracuje tam pani doktor uważana w świecie onkologów za najlepszą specjalistkę przy tym nowotworze. I ona nas skierowała właśnie do Houston. Aż chce się powiedzieć: „Houston, mamy problem". Zmiana wynika z tego, że obydwa ośrodki zajmują się badaniem tego nowotworu i mają różne procedury. Pewnie w jakichś szczegółach dla zwykłego śmiertelnika są nie do wyłapania. Natomiast Amerykanie napisali nam: „Mamy dobre wyniki", więc jak usłyszeliśmy, że tak jest, to przecież każdy rodzic zrobi wszystko, żeby dać szansę swojemu dziecku - dodaje tata Zosi.

Lekarze stwierdzili, że na Zosię obecne leczenie chemioterapią jest za mało skuteczne i należy zastosować nowoczesną terapię. Jest nią CAR-T, czyli leczenie celowane, w Polsce nie istnieje.

Pomoc w kształcie pieroga

Malbork i powiat zintegrowały się wokół małej dziewczynki. Nie ma praktycznie dnia bez jakiejś akcji. Podczas I Malborskiego Maratonu Lepienia Pierogów, który odbywał się od minionego poniedziałku do środy, lepiono też kolejną dawkę nadziei dla Zosi. Miał trwać 48 godzin z finiszem w środę o dziewiątej rano, ale został przedłużony o dziewięć godzin.

- Odzew mieszkańców jest ogromny. We wtorek osoby, które przyszły odebrać pierogi, stawały do stołów i lepiły, widząc, jak duża jest kolejka i jak duża jest potrzeba pomocy. I to chyba są najbardziej wzruszające chwile, łącznie z tymi chwilami, gdy nie nadążaliśmy z robieniem. Ludzie po to, by wziąć te pierogi właśnie z myślą o Zosi, czekali nawet po dwie godziny w „kolejce pierogowej razem z nami" we wspaniałej świątecznej atmosferze. Spodziewaliśmy się, że będzie to akcja, która spotka się z zainteresowaniem, bo wszyscy mieszkańcy włączają się w akcje dla Zosi, natomiast nie wiedzieliśmy, że będzie to w takiej liczbie - mówiła nam Marta Dorobek z Fundacji Hospicjum, pomysłodawczyni akcji, w środowy poranek.

Nietypowa akcja miała przykuć uwagę.

- Robimy to po to, żeby nagłośnić zbiórkę dla Zosi i żeby osoby, które jeszcze nie wiedzą o tym, że jest potrzeba pomocy, o tym się dowiedziały - tłumaczy Marta Dorobek.

Udało się ulepić około 10 tysięcy pierogów i zebrać ponad 22 tysiące złotych.

Oprócz pieniędzy ludzie dają dobre chęci, wysiłek, po prostu to, co potrafią.

- Cały czas powtarzam każdemu, że ja nie biegam tu dla siebie, żeby się wypromować. Chcę nagłośnić, że jest taka dziewczynka, że potrzebuje pomocy i żeby wejść na zbiórkę założoną w internecie przez jej rodziców - mówił nam Andrzej Potoczek, biegacz z Lichnów.

eprasa.pl fc4eac13b3

On pod koniec listopada w ciągu 29 godzin przebiegł dla Zosi dystans 225 kilometrów na bulwarze w Malborku, wtedy w niełatwych, bo akurat zimowych warunkach.

- Jakiś ból jest, ale przeminie, a na pewno było warto się pomęczyć, bo cel był szczytny - powiedział nam Andrzej już po dotarciu do Muzeum Miasta Malborka.

Jego akcja była połączona z jogą prowadzoną przez instruktorkę z Malborka, Dorotę Wołkowską. Udało im się zebrać ponad 8 tys. zł.

Malbork sam nie da rady

Można by tak wyliczać i wyliczać. Akcji było już całe mnóstwo i będą kolejne. Dzisiaj w Zespole Szkół Katolickich w Malborku, praktycznie po roku, kolejny koncert charytatywny na rzecz Zosi. Rozpocznie się o godz. 17 w hali sportowej „katolika".

- Mimo cierpienia Zosia pozostaje dziewczynką o niezwykłej wrażliwości, ogromnej sile ducha i ciepłym uśmiechu, który potrafi rozjaśnić nawet bardzo ciężkie dni. Te koncerty to nie tylko muzyka, ale głos solidarności. Chcemy, by muzyka stała się promykiem nadziei, który pomoże Zosi przetrwać ten trudny czas - wyjaśnia Adam Makowski, nauczyciel muzyki w ZSK, pomysłodawca koncertu „Zamieszkaj tu... Chcę, byś we mnie dziś narodził się".

Wystąpi prowadzony przez niego zespół Totus Tuus, w poszerzonym 100-osobowym składzie, tworzony przez młodych artystów z trzech placówek: ZSK w Malborku, Szkoły Podstawowej w Małych Walichnowach oraz Domu Kultury w Subkowach.

Z kolei 5 stycznia bardzo ciekawy kolejny koncert charytatywny „Balbiny i goście", podczas którego zaśpiewają m.in. znani polscy wokaliści, jak: Krystian Ochman, Krzysztof Iwaneczko, Damian Ukeje, Natalia Zastępa i Tadeusz Seibert. Ostatni z nich jest malborczykiem i ściągnął wykonawców na doroczne wydarzenie organizowane przez swoją mamę, a ona - Maria Seibert zwraca uwagę na bardzo ważną rzecz, apelując do Polski o pomoc.

- To nie jest tak, że zbierzemy, ile się da i to wystarczy. Musimy zebrać konkretnie 4 miliony złotych, nie milion czy półtora. Czasu mamy góra do marca, bo nie ma już dla Zosi ratunku w Polsce. Zintegrowaliśmy się fantastycznie, potrafiliśmy pokazać, że w każdej imprezie, w każdym wydarzeniu, w każdej jakiejś miłej sytuacji zbieraliśmy i zbieramy pieniądze dla Zosi, ale my jako Malbork już nie jesteśmy w stanie zebrać więcej. Możemy dołożyć jeszcze 200 tysięcy? Brakuje nam co najmniej trzech milionów - mówi Maria Seibert, kierownik artystyczny Studia Wokalnego Balbiny.

FOT. RADOSŁAW KONCZYŃSKI

Zosia z mamą Anną. Misia dostała od piłkarzy

- Zosię znam od ponad dwóch lat. Miała pięć lat, jak ją poznałam, i to był taki dzień, gdzie właśnie jechała z tatą do kliniki. Wiem, że akcji dla Zosi jest dużo, dużo się dzieje i może ktoś powie, że są też inne dzieci. To wszystko prawda, ale teraz mamy Zosię, która potrzebuje ogromnej kwoty. Nikt sam nie zbierze około 4 milionów złotych. Zwykłego człowieka nie stać na to, żeby wyleczyć dziecko za taką kwotę, a przecież każdemu rodzicowi zależy na zdrowiu i życiu swojego dziecka. Dlatego mam taki apel, żeby nikt się nie zrażał, że jest Zosi za dużo. Nie, Zosi nie jest za dużo, ona potrzebuje pomocy nas wszystkich - podkreśla z kolei Monika Sobczyńska, dyrektor Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Malborku, współorganizatorka piłkarskiego turnieju charytatywnego.

Albo, albo... Nie ma innych opcji

Obecnie z jednej strony trwa zbiórka, z drugiej - fizyczne, medyczne przygotowanie Zosi do wylotu. To drugie jeszcze w październiku wydawało się niemożliwe.

- Moja żona jest biologiem, więc ma tę przewagę nade mną, że się zna. Jak czyta artykuły, to dużo więcej rozumie z tego niż ja. Gdzieś znalazła informację o immunoterapii, więc kładła bardzo duży nacisk na to, żeby ją dostać. To nie jest terapia związana z nowotworem. Ona nie leczy, ale cel jest taki, żeby dać nam więcej czasu... Jednym ze skutków immunoterapii, oczekiwanych zresztą, mogą być stany zapalne w organizmie, bo chodzi o to, żeby pobudzić organizm do walki. Nie będę tu wchodził w szczegóły medyczne, bo się na tym nie znam, ale jak ktoś by teraz zobaczył Zosię i nie wie, o co chodzi, to pomyśli: no zdrowe dziecko. To jest właśnie wpływ immunoterapii - mówi Krzysztof Lewandowski.

A w rzeczywistości trwa dramatyczna walka z czasem.

- Jesteśmy w pewnym sensie „przytłoczeni" liczbą akcji na rzecz Zosi, ale wiemy, że to jest konieczne. Reakcje ludzi są dla nas aż zaskakujące; oprócz tego, że idą za tym pieniądze, to nas podbudowują, podnoszą na duchu, bo jak usłyszeliśmy kwotę, którą musimy zebrać, to stanęliśmy pod ścianą. To jest kwota kolosalna. Normalny, przeciętny człowiek, a nawet bogaty człowiek nie ma takich pieniędzy odłożonych, bo obraca nimi, one nie leżą pochowane w skarpetach i czekają, żeby sobie wybrać. Po pierwsze, to jest trudne jak prosisz. Po drugie, musisz wyjść na światło tak jakby. Pewnie, że wolałbym być mniej rozpoznawalny, ale w takiej sytuacji: albo życie Zosi, albo nasz komfort. Wybór jest prosty... - mówi Krzysztof Lewandowski.

- Nie lubię być w szpitalu, to najgorsza rzecz na świecie. Jak jestem w szpitalu, to tęsknię za dziewczynami, moimi siostrami: Kasią i Misią - mówi Zosia. Są trojaczkami. 29 grudnia dziewczynki skończą osiem lat.

©℗

TAK MOŻESZ POMÓC, NIE WYCHODZĄC Z DOMU

Zosi można pomóc na kilka sposobów, wpłacając darowizny na konto zbiórek internetowych:

- https://www.kawalek-nieba.pl/zosia-lewandowska
- https://www.siepomaga.pl/zosia-lewandowska.

Można również znaleźć na Facebooku grupę „Miliony serc dla Zosi Lewandowskiej – licytacje" i wziąć udział w aukcjach.

AUTOREKLAMA 0011453917

Do poczytania

Harlan Coben, Reese Witherspoon „Zanim powiesz żegnaj”
Dwa gorące nazwiska będące synonimami wciągającej fabuły razem w jednym thrillerze, który nie pozwoli zasnąć. To suspens na miarę Oscara! Niezłomna kobieta uwięziona w sieci kłamstw, którą sama pomogła stworzyć. Poszukiwanie prawdy, za której ukrycie globalne elity są gotowe wiele zapłacić.
Wyd. Albatros Warszawa 2025, 54,90 zł

Grzegorz Piątek „Sztuka obsługi penisa”
W przystępnych, błyskotliwych i niepozbawionych humoru rozmowach autorzy obalają mity na temat męskości, posługują się fachową wiedzą, sięgając do wyników badań psychologów i seksuologów oraz do bogatego doświadczenia Andrzeja Gryżewskiego jako seksuologa i psychoterapeuty. Nie brakuje nawiązań do kultury i popkultury.
Wyd. Literackie, Kraków 2025, 59,90 zł

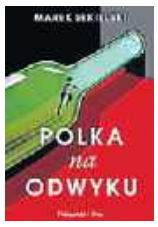

Marek Sekielski „Polka na odwyku”
Dwanaście szczerych i intymnych rozmów o piekle, z którego można wyjść. Najpierw był cykl wywiadów w internecie. A teraz książka. Pod imionami bohaterek kryją się kobiety, które zna każdy z nas. To często nasze koleżanki z pracy czy znajome. Warto poznać ich historie, żeby zrozumieć ich emocje, pomóc im znaleźć motywację do walki.
Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, 49,99 zł

Andrzej Gryżewski, Przemysław Pilarski „Sztuka obsługi penisa 2. Nowe wyzwania”
W drugiej części kultowego poradnika autorzy mierzą się z tym, o czym wielu woli milczeć: chemseks, seksturystyka, porno i technologie, które zamiast łączyć, często jeszcze bardziej izolują i komplikują relacje. Autorzy też pokazują, jak konserwatywne rządy próbują wchodzić ludziom do sypialni.
Wyd. Literackie, Kraków 2025, 59,90 zł

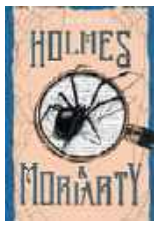

Gareth Rubin „Holmes i Moriarty”
Sherlock Holmes i James Moriarty pierwszy raz łączą siły! Nowa powieść autora bestsellerowego „Domu Klepsydry”. Dwaj adwersarze. Niewygodny sojusz. I śledztwo, od którego zależy przyszłość Anglii! Czy zdołasz rozwiązać zagadkę kryminalną, zanim zrobi to najsłynniejszy detektyw wszech czasów?
Wyd. Albatros Warszawa 2025, 49,90 zł

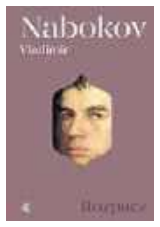

Vladimir Nabokov „Rozpacz”
Kiedy Hermann Karłowicz, fabrykant czekoladek, spotyka w Pradze włóczęgę, którego uznaje za swojego sobowtóra, w jego głowie kiełkuje obsesyjny plan zbrodni doskonałej. Wystarczy zamiana ubrań, by zabić samego siebie i posiadając idealne alibi – jako ofiara, nie morderca - zdobyć własne ubezpieczenie na życie. Nie to jest dla niego najważniejsze.
Wyd. W.A.B., Warszawa 2025, 49,99 zł

Remigiusz Mróz „Węzeł czasu”
Aga budzi się w środku lasu bez pojęcia o tym, gdzie jest i jak się tam znalazła. Ostatnim, co pamięta, jest kawa z przyjaciółką na opol skim rynku w środku lata 2025 roku. Teraz odczuwalna temperatu ra wskazuje, że od tamtej pory minęło przynajmniej kilka miesię cy. Gdzie przepadły jej wspomnienia? Dlaczego nic nie pamięta?
Wyd. W.A.B., Warszawa 2025, 49,99 zł

Lucinda Riley „Ballada o miłości”
Z malowniczych wybrzeży Irlandii do dekadenckiego Londynu lat 60. brytyjska pisarka uwielbiana przez czytelniczki prozy obyczajowej na całym świecie za bestsellerowy cykl powieści Siedem sióstr, powraca z nową urzekającą historią o miłości i stracie! Wiedziała, że będzie go kochać do końca życia. Bez względu na cenę...
Wyd. Albatros, Warszawa 2025, 54,90 zł

Andrzej Gryżewski „Sztuka osługi mężczyzny”
Facet, spójrz prawdzie w oczy: nikt cię nie nauczył obsługi samego siebie. Dorastałeś w świecie, w którym mężczyzna miał milczeć, znosić wszystko i nie płakać. Dzisiaj dusisz emocje, wybuchasz w złych momentach, uciekasz w seks, porno, alkohol, robotę albo w wieczne pozowanie na „silnego gościa”. Ta książka ma cię z tego wyrwać.
Wyd. Literackie, Kraków 2025, 59,90 zł

Radosław Sikorski „Z okopu do Europy. Trzy dekady w centrum wydarzeń”
Radosław Sikorski - reporter i minister - opowiada o swojej drodze od afgańskich okopów, przez brytyjskie redakcje, po gabinety polskiej i europejskiej dyplomacji. Jego teksty to pasjonująca kronika polskiej transformacji, pełna anegdot, kulis polityki i ponadczasowych lekcji.
Wyd. Znak, Kraków 2025, 49,99 zł

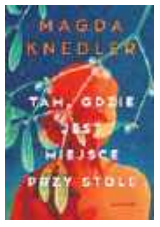

Magda Knedler „Tam, gdzie jest miejsce przy stole”
Po dziesięciu latach życia z manipulującym i kontrolującym Krzysztofem Emilia nie ma przyjaciół i znajomych, a na wiecznie krytykującą matkę nie może liczyć. Gdy wstaje od wigilijnego stołu i wychodzi w cichą noc, wie, że do domu nie wróci. Postanawia zacząć życie od nowa. Krzysztof śledzi, osacza. Czy Emilii uda się od niego uwolnić?
Wyd. Zwierciadło, Warszawa 2025, 49,90 zł

Zuzanna Gajewska „Autobusy pełne pustych miejsc”
Helena spędza dużo czasu, jeżdżąc komunikacją miejską. Jeździ z pracy do domu, z domu do pracy. Dokądś i bez celu. Jeździ, wpatrując się we współpasażerów i puste miejsce obok, które kiedyś zajmowała jej przyjaciółka Patrycja. Ale Patrycji już nie ma. Dlatego Helena szuka jej w innych ludziach, w ich gestach.
Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, 48 zł

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

- NIERUCHOMOŚCI
- HANDLOWE
- MOTORYZACJA
- FINANSE/BIZNES
- NAUKA
- PRACA
- ZDROWIE
- USŁUGI
- TURYSTYKA
- BANK KWATER
- ZWIERZĘTA
- ROŚLINY, OGRODY
- MATRYMONIALNE
- RÓŻNE
- KOMUNIKATY
- ŻYCZENIA /PODZIĘKOWANIA
- GASTRONOMIA
- ROLNICZE
- TOWARZYSKIE

Usługi

AGD RTV FOTO

PRALKI naprawa w domu, 603 775 878

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski z jajem dowóz 600539790

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski **PRZETARGI**
nasze komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →

Strona Kuchni

Wszystkie smaki kuchni

stronakuchni.pl

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

eprasa.pl fc4eac13b3

MATERIAŁ INFORMACYJNY PKP POLSKICH LINII KOLEJOWYCH S.A.

0011455534

Podróżni korzystają z nowych peronów między Lęborkiem a Słupskiem

Gdynia
Słupsk
łączymy miejsca, łączymy ludzi

Po kilku miesiącach intensywnych prac podróżni ponownie korzystają z połączeń kolejowych między Lęborkiem a Słupskiem. 14 grudnia wznowiono ruch pociągów na tej części modernizowanej linii kolejowej nr 202, która jest jedną z najważniejszych tras kolejowych północnej Polski. To nie jedyna dobra informacja. PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. podpisały także umowę z wykonawcą na modernizację kolejnego odcinka – między Gdynią Chylonią a Lęborkiem. Dzięki temu podróż koleją z Trójmiasta do Słupska stanie się szybsza, bezpieczniejsza i bardziej komfortowa.

Pociągi znów kursują. Kolejny etap modernizacji między Lęborkiem a Słupskiem

PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. wywiązały się z sierpniowych zapowiedzi i na 14 grudnia przygotowały infrastrukturę umożliwiającą wznowienie ruchu kolejowego na szlaku Lębork – Słupsk. Przypomnijmy, że trzymiesięczne zamknięcie tej trasy było spowodowane ogromem zaplanowanych prac, w tym m.in. wymiany nawierzchni torowej. Dobra informacja dla podróżnych jest taka, że do końca realizacji inwestycji nie są planowane kolejne wstrzymania ruchu kolejowego na tym odcinku.

Od 14 grudnia pociągi kursują po dwóch torach między Lęborkiem a Pogorzelicami, co zwiększa przepustowość linii i pozwala sprawniej prowadzić ruch. **Podróżni korzystają już z nowych peronów m.in. w Leśnicach, Pogorzelicach, Potęgowie, Damnicy i Jezierzycach**. Wszystkie będą przystosowane do obsługi podróżnych o ograniczonych możliwościach poruszania się.

Prace nad modernizacją tego szlaku będą kontynuowane. W kolejnych miesiącach planowane są prace na stacjach i przystankach, a także przy budowie **nowych przystanków: Łebień, Runowo oraz Siemianice**. Równolegle powstaje drugi tor na odcinku od Pogorzelic do Słupska.

Zmiany obejmują również stację Słupsk. Od września pasażerowie korzystają tam z przebudowanego perony nr 3 i nowego peronu nr 4, a obecnie trwają prace przy budowie konstrukcji peronów nr 1 i 2. Jednocześnie przebudowywane są trzy wiadukty kolejowe na terenie miasta, co poprawi bezpieczeństwo i płynność ruchu kolejowego oraz drogowego. Dwa z nich – nad ul. Grunwaldzką i ul. Bałtycką – są już niemal gotowe.

Kolejny krok: umowa na modernizację odcinka Gdynia Chylonia – Lębork

Po dwóch latach intensywnych prac między Lęborkiem a Słupskiem przyszedł czas na modernizację kolejnego, strategicznego fragmentu linii nr 202 – odcinka między Gdynią Chylonią a Lęborkiem. Podpisana przez PKP Polskie Linie Kolejowa S.A. umowa z wybranym wykonawcą otwiera drogę do kompleksowej przebudowy trasy, którą planuje się zakończyć w 2029 roku.

Efekt? Szybsze, bezpieczniejsze i bardziej komfortowe podróże koleją z Trójmiasta do Słupska. Inwestycja znacząco zwiększy potencjał linii do prowadzenia zarówno ruchu pasażerskiego, jak i towarowego. Przepustowość poprawią dodatkowe tory: drugi tor na odcinkach Gdynia Chylonia – Rumia oraz Wejherowo – Lębork, a także dwa tory aglomeracyjne między Rumią a Wejherowem. Będą one przedłużeniem linii kolejowej nr 250, wykorzystywanej przez pociągi PKP SKM w Trójmieście, co usprawni przejazdy w aglomeracji.

Zakres prac obejmować będzie przebudowę toru na odcinku o długości 55 km, modernizację sieci trakcyjnej oraz aż 73 obiektów inżynieryjnych – mostów, wiaduktów i przejść podziemnych. Szczególny nacisk położony zostanie na bezpieczeństwo: 12 przejazdów kolejowo-drogowych zostanie zastąpionych bezkolizyjnymi skrzyżowaniami w postaci wiaduktów drogowych i kolejowych.

Sprawniejsze zarządzanie ruchem zapewni nowoczesny system sterowania ruchem kolejowym, obsługiwany z nowego Lokalnego Centrum Sterowania w Wejherowie. To rozwiązanie, które przełoży się na zwiększenie punktualności pociągów i koordynacji ruchu na całej trasie.

Podróże z większą prędkością, krótsze czasy przejazdu

Po zakończeniu prac na całej trasie Gdynia Chylonia – Słupsk najszybsze pociągi pasażerskie skrócą czas przejazdu o około 15 minut. Składy pasażerskie będą mogły poruszać się z prędkością do 160 km/h (obecnie do 120 km/h), a pociągi towarowe do 120 km/h zamiast dotychczasowych 70 km/h. Inwestycja przygotowuje również linię do dalszej rozbudowy – docelowo nawet do prędkości 200 km/h, co będzie możliwe po realizacji odrębnego projektu wiązanego z zabudową systemu ETCS/ERTMS.

Modernizacja linii kolejowej nr 202 to inwestycja, która już dziś przynosi wymierne efekty, a w kolejnych latach diametralnie zmieni standard podróżowania koleją na Pomorzu – z korzyścią dla pasażerów, gospodarki i środowiska. Nie bez znaczenia jest także strategiczna rola tej linii. Trasa zapewnia kolejowy dostęp do planowanej elektrowni jądrowej Lubiatowo – Kopalino, co dodatkowo podkreśla jej znaczenie dla rozwoju regionu i całego kraju.

Nowy, dwukrawędziowy peron na stacji kolejowej Potęgowo

Między Lęborkiem a Pogorzelicami pociągi kursują po dwóch torach

Podróżni korzystają już z nowego peronu na stacji Jezierzyce Słupskie

gdynia.slupsk

www.plk-sa.pl | www.plk-inwestycje.pl | www.mapadotacji.pl

Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko

Rzeczpospolita Polska

Dofinansowane przez Unię Europejską

PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

Projekt „Prace na linii kolejowej nr 202 na odcinku Gdynia Chylonia – Słupsk – Faza II" jest dofinansowany przez Unię Europejską w ramach Funduszy Europejskich na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021-2027

eprasa.pl fc4eac13b3

Głos Dziennik Pomorza
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

Złowrogi cień Jerzego Paramonowa

FOT. CC

Jerzy Paramonow zaczynał jako złodziej, ale szybko w szemranych kręgach stał się legendą. Rozprawiano o nim w ciemnych warszawskich bramach przy ciepłej wódce

Mariusz Grabowski
miejscowość

Minęło 70 lat od słynnej sprawy Jerzego Paramonowa, bezwzględnego bandziora terroryzującego Warszawę i zabójcy milicjanta Zdzisława Łęckiego. Był to jeden z tragicznych epizodów w wojnie Polski Ludowej z powojennym bandytyzmem.

Polska wyszła z wojny z ogromną falą przestępczości i demoralizacji. Po 1945 r. dla wszystkich typów bandytyzmu nastał złoty okres. Jak przyznawano w jednym z milicyjnych raportów: „Brak wyszkolonych kadr, niedostateczna znajomość służby śledczej są powodem wzrostu przestępczości". Przypadek Jerzego Paramonowa można uznać za idealny przykład skutków ówczesnych zjawisk.

Ponura statystyka

Powojenna bieda, upadek norm moralnych, obyczajowe rozprężenie, chuliganeria – to wciąż mało zbadane zjawiska społeczne w powstającej z gruzów Polsce. Wedle danych milicyjnych w 1945 r. miały zostać popełnione 265 tys. 962 przestępstwa, w tym m.in. rozboje – 26 tys. 471, uszkodzenia ciała – 10 tys. 073, kradzieże – 121 tys. 729. Z kolei w 1946 r. odnotowano popełnienie 239 tys. 954 przestępstw, a w 1947 r. 227 tys. 175. W ocenie większości badaczy są to liczby znacznie zaniżone.

Powodów jest kilka. Po pierwsze, należy pamiętać, że na terenach objętych statystyką milicyjną w 1945 r. mogło przebywać niewiele więcej niż 20 mln osób, czyli o ok. 15 mln mniej niż w II Rzeczypospolitej. A zatem współczynnik zgłoszonych przestępstw na 100 tys. mieszkańców mógł być zbliżony. Po drugie, duża część popełnionych po wojnie przestępstw w ogóle nie trafiła do milicyjnych kartotek.

„Milicyjne dane o przestępczości z 1945 r. nie oddają skali zjawiska, które określić należy mianem katastrofy – pisze Piotr Majer w tekście „Zapomniana formacja. MO w walce z przestępczością kryminalną w pierwszych latach powojennych" („Gazeta Policyjna" nr 4 z 2004 r.).

Innym problemem był stan etyczny i społeczny stróżów prawa. Wielu milicjantów ukończyło najwyżej kilka klas szkoły powszechnej, więc przypadki analfabetyzmu dałoby się odnotować prawdopodobnie w każdej komendzie. O poziomie umysłowym ludzi, którzy trafiali do MO, świadczą sporządzone przez nich raporty – napisane językiem mówionym, z licznymi błędami ortograficznymi, logicznymi i stylistycznymi.

Zachował się raport z okolic Szczecina z sierpnia 1945 r., w którym donoszono: „Praca milicji przedstawia dużo do życzenia. Milicjanci w większości wypadków ludzie z ulicy, bez jasno wytyczonego celu, zbyt młodzi o zupełnie nie wyrobionych charakterach i bardzo małym wyrobieniu społecznym i politycznym, przeważnie przebywają w szeregach MO dla własnych korzyści i prawie zupełnym braku wyszkolenia i wiadomości fachowych, niskim stanie moralnym, duży procent milicjantów nieprzeszkolony wojskowo pociąga za sobą nadużywanie broni dla celów wiwatowo-przyjemnościowych. Milicja w podobnym stanie i wyglądzie nie może budzić w społeczeństwie zaufania, to też ingerencja w wypadkach potrzeby jest przeważnie lekceważona, a milicjant częstokroć wyśmiany".

Osobną kwestią był wszechobecny szaber i kradzież mienia społecznego. Jak pisze Marcin Zaremba w tomie „Wielka trwoga": „Poza oficjalnym, inteligenckim dyskursem mało kto uważał szabrowanie za coś złego. Przeciwnie – przedmioty zdobyte tą drogą stanowiły przedmiot dumy. Pokazywano je sobie nawzajem. Ich rozdawnictwo na tzw. Ziemiach Odzyskanych odegrało bardzo ważną rolę w budowie więzi społecznych, nierzadko o charakterze klientalnym. Burmistrz sekretarzowi PPR, komendant posterunku MO burmistrzowi, ten znowu tak potrzebnym lekarzom i nauczycielom, swoją dolę otrzymywał także radziecki komendant – w ten sposób przekazywano meble, mieszkania, konie i wszystkie inne potrzebne dobra. Dzięki temu rodziły się układy, konstelacje, powiązania – społeczeństwo. W centralnej Polsce udane podróże na »Dziki Zachód« dowodziły męskiej zaradności i sprytu".

Szaber miał wpływ na ówczesną kulturę życia codziennego: system wartości, kulturę materialną, czas wolny. Ułożona na nutę mazura fraszka głosiła:

„Jeszcze jeden szaber dzisiaj
auto nie nawali
jeszcze jedno futro Krysi
i jedziemy dalej…".

W morzu ruin

Bandyterka szalała na prowincji, ale także w miastach. Gdy władza zajmowała się budowaniem stalinowskiego totalitaryzmu, na ulicach panoszyli się chuligani. Rozwydrzeni i bezkarni stanowili w latach 40. i początkach lat 50. największe zagrożenie dla mieszkańców.

W Warszawie zjawisko bandytyzmu było szczególnie widoczne. Nie wzięło się znikąd. Ludzie mieszkali wśród ruin, bez kanalizacji, prądu, w budynkach grożących zawaleniem. Reporter „Rzeczpospolitej" w maju 1946 r. tak opisywał swoją wizytę na Starówce: „Zaczęłyśmy się rozglądać. Gdzież tu może być życie w tych straszliwych zwałach cegieł, w tych stosach gruzów gromadzonych jedne na drugich (…). A jednak. W resztkach muru otwór zabity jakimiś przywleczonymi skądś drzwiami, w tych drzwiach sterczy żelazna szyjka rury, na zewnątrz wydobywa się dym. Tam są ludzie. Pukamy do tych drzwiczek. Otwiera nam stara kobieta. Ubrana w nieprawdopodobne łachmany: nogi obwinięte ma w szmaty, włosy kosmykami zwisają na twarz (…)".

To w takim otoczeniu pojawił się Jerzy Paramonow, zaczynający jako złodziej z kolejarskiej familii ze Skierniewic, który szybko w szemranych kręgach stał się legendą. Rozprawiano o nim w ciemnych warszawskich bramach przy ciepłej wódce, choć on sam stołował się w najdroższych lokalach. Król stołecznych ulic – dla jednych pospolity, zdemoralizowany i okrutny bandzior, dla innych heros.

Jego wyczyny obrosły legendą tak nośną, że najsłynniejsza knajacka ballada powojennej Warszawy traktuje właśnie o Paramonowie. Istnieje kilka wersji tej pieśni:

„Pod kinem »Roma« ktoś głośno wrzasnął,
to Paramonow ze łba go trzasnął
Pod kinem »Roma« ktoś głośno krzyczy
To Paramonow zęby mu liczy".

Już jako nastolatek bohater tej ballady miewał problemy z prawem, pierwszy raz był karany już w 1944 r. Od tego momentu wielokrotnie trafiał przed sąd, głównie jako sprawca i uczestnik bójek, znieważanie milicjantów oraz w sprawie drobnych kradzieży.

Jako 18-latek został skazany na trzy lata i sześć miesięcy pozbawienia wolności za rozboje i włamania. Był również sądzony za „gwałt z użyciem niebezpiecznego narzędzia" i za ten czyn otrzymał wyrok sześciu lat pozbawienia wolności. Do więzienia ponownie trafił w 1950 r. Wyszedł w wyniku amnestii po odsiedzeniu połowy kary.

Balanga w taksówce

Złowroga kariera Paramonowa przyspieszyła gwałtownie latem 1955 r. 19 sierpnia na ul. Syreny w Warszawie bandzior zaatakował łomem milicjanta Stanisława Lesińskiego i skradł mu pistolet TT. Milicjant przeżył, ale w ciężkim stanie trafił do szpitala. W wyniku ataku stracił oko.

Następnie Paramonow wraz z kompanem, niejakim Kazimierzem Gaszczyńskim, dokonał serii kilkunastu napadów na sklepy i restauracje. 22 września, tym razem ze swoim szwagrem Zdzisławem Gadajem i przypadkową prostytutką, został aresztowany przez milicjanta Zdzisława Łęckiego podczas libacji w taksówce parkującej niedaleko restauracji „Stolica" przy pl. Powstańców w Warszawie.

Po przewiezieniu taksówką na komendę MO przy ul. Wilczej rozegrały się tragiczne wydarzenia: Paramonow podjął udaną próbę ucieczki, podczas której zastrzelił Łęckiego i ranił innego milicjanta. Wyglądało to niemal filmowo: strzelił trzy razy, dwie kule dosięgnęły celu. Nim z budynku wybiegli zaalarmowani milicjanci, on uciekł podwórkami na plac Konstytucji, skąd skradł taksówkę.

Szalejący po stolicy uzbrojony bandyta stał się celem polowania. A także kultu wśród marginesu społecznego. Bandyta przemieszczał się po różnych miastach, a ludzie układali kolejne zwrotki piosenek ku jego chwale. Był ich idolem, bo zabił milicjanta:

„Cała milicja już w strachu chodzi,
bo Paramonow przyjechał do Łodzi".

Po trwających kilkanaście dni poszukiwaniach, 2 października Paramonow został aresztowany wraz z Gaszczyńskim w okolicach Warszawy Wschodniej. Spali skacowani w stogu siana. Aresztowania dokonali: st. strz. Józef Ostrowski i sierż. Henryk Skiba.

Proces w sądzie wojewódzkim trwał tylko trzy dni i był biletowany, bo śledzić go chcieli wszyscy. „Już od rana na korytarzach sądu gromadziły się tłumy (…). To przeważnie młodzież specjalnego autoramentu, wśród niej wielu znajomych milicji chuliganów i bikiniarzy" – donosił „Express Wieczorny" z 10 listopada 1955 r. Obaj przestępcy skazani zostali na karę śmierci (Gaszczyńskiemu karę złagodzono).

Wyrok na Paramonowie wykonano bardzo szybko, bo już 21 listopada. Piosence przybyła kolejna zwrotka:

„Cała Warszawa chodzi w żałobie,
bo Paramonow leży już w grobie".

eprasa.pl fc4eac13b3

Powrót „Lewego”. Zalewski i Piotrowski z asystami

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **To był kolejny niezbyt udany weekend reprezentantów Polski. Żaden nie strzelił gola, a asysty zaliczyli tylko Nicola Zalewski i Jakub Piotrowski. Do gry wrócił Robert Lewandowski.**

Prawy obrońca Aston Villi Matty Cash zaliczył koszmarny błąd przy golu rywala w meczu z Manchesterem United – wdał się w drybling pod własnym polem karnym, stracił piłkę i w kosekwencji „The Villans” bramkę. Na szczęście strata gola nie przeszkodziła w wygranej. Kolejny występ zaliczył w Bundeslidze 18-letni środkowy obrońca FSV Mainz 05 Kacper Potulski.

Atalanta Bergamo męczyła się cały mecz w niedzielę z Genoą. Już w 3. minucie czerwoną kartką ukarany został bramkarz Genui Nicola Leali. Mimo mniejszej liczby zawodników, gospodarze dzielnie się bronili i niemal do ostatniego gwizdka utrzymali bezbramkowy remis. Na ławce rezerwowych aż d 69. minuty siedział Nicola Zalewski. Gdy wszedł na murawę, szybko dostał żółtą kartkę. Mimo gry w przewadze, Atalanta nie umiała strzelić gola, aż do ostatniej akcji meczu. W 94. minucie Zalewski został jednym z bohaterów, bowiem popisał się perfekcyjnym dośrodkowaniem z rzutu rożnego w pole karne, gdzie szwedzki obrońca Isak Hien precyzyjnym uderzeniem dał zwycięstwo Atalancie.

– Przed wejściem na boisko trener Palladino poprosił mnie, żebym robił to, co zwykle, czyli dawał z siebie wszystko w obronie, rywalizując z Nortonem-Cuffym, żebym naciskał, aby trzymać go nisko. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że udało nam się wygrać, niezależnie od tego, kto strzelił czy zaliczył asystę. Potrzebowaliśmy tych punktów – przyznał Zalewski.

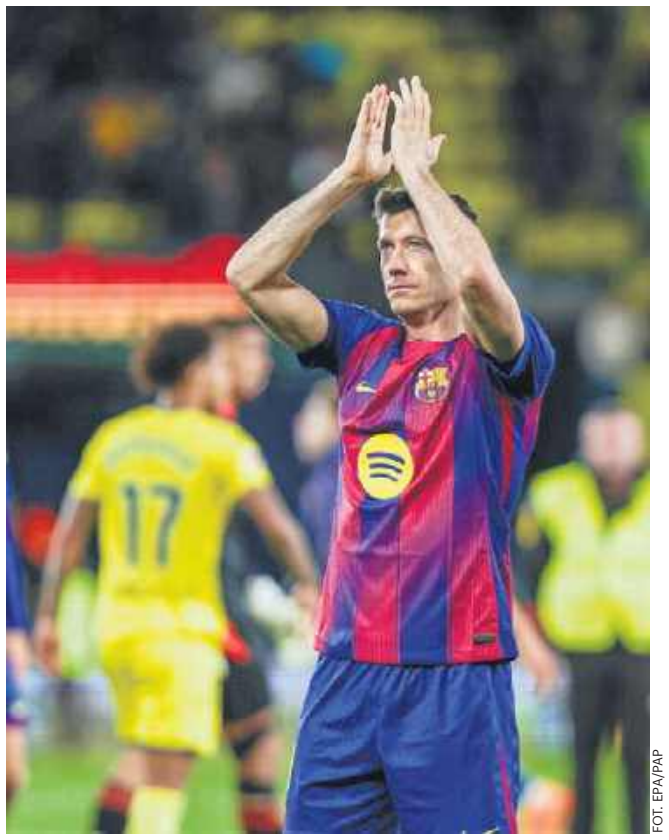
FOT. EPA/PAP

Robert Lewandowski wrócił do gry w Barcelonie, ale tym razem nie zdobył bramki w meczu z Villarrealem

Asystę zaliczył też niepowoływany ostatnio Jakub Piotrowski. Pomocnik Udinese, 66. minucie zagrał piętą w środku pola do Oumara Soleta. Francuz popędził w kierunku bramki gospodarzy i potężnym uderzeniem zza pola karnego nie dał bramkarzowi rywali żadnych szans. Była to jednak asysta na otarcie łez, bo Udinese uległo ostatniej w tabeli Serie A Fiorentinie aż 1:5.

Na murawę, po kilku meczach przerwy, wrócił w FC Barcelonie Robert Lewandowski. „Blaugrana” wygrała 2:0 z Villarrealem, ale „Lewy” nie był w stanie wywrzeć jakiejś niesamowitej presji pod bramką gospodarzy. Cieszy, że porównywalnie w pierwszej połowie zagrał Ferran Torres, a można rzec, że Lewandowski był w niedzielę lepszy od Hiszpana.

©℗

WEEKEND KADROWICZÓW

Bramkarze:
Bartłomiej Drągowski (Panathinaikos) – na ławce rezerwowych w przegranym 0:2 meczu z PAOK-iem.
Kamil Grabara (VfL Wolfsburg) – 90 minut w przegranym 3:4 meczu z Freiburgiem.
Kacper Tobiasz (Legia Warszawa) – na ławce w wygranym 4:1 meczu z Lincoln.
Mateusz Kochalski (Karabach Agdam) – na ławce w wygranym 2:1 meczu z Gabalą.

Obrońcy:
Jan Bednarek (Porto) – mecz odbył się w poniedziałek, 22 grudnia, ale nie zagrał z powodu nadmiaru kartek.
Matty Cash (Aston Villa) – 90 minut i błąd w wygranym 2:1 meczu z Manchesterem United.
Tomasz Kędziora (PAOK) – 90 minut w wygranym 2:0 meczu z Panathinaikosem.
Jakub Kiwior (Porto) – mecz odbył się w poniedziałek, 22 grudnia.
Kryspin Szcześniak (Górnik Zabrze) – runda jesienna zakończona.
Przemysław Wiśniewski (Spezia) – 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Frosinone.
Paweł Wszołek (Legia Warszawa) – runda jesienna zakończona.
Jan Ziółkowski (AS Roma) – 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Juventusem.
Kacper Potulski – reprezentant Polski U21 (Mainz) – 90. minut w zremisowanym 0:0 meczu z St. Pauli.

Pomocnicy:
Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin) – runda jesienna zakończona.
Jakub Kamiński (FC Köln) – 86. minut w przegranym 0:1 meczu z Unionem Berlin.
Bartosz Kapustka (Legia Warszawa) – runda jesienna zakończona.
Kacper Kozłowski (Gaziantep FK) – mecz odbył się wczoraj.
Filip Rózga (Sturm Graz) – 17 minut w przegranym 1:3 meczu z Austrią Wiedeń.
Michał Skóraś (Gent) – pauza za czerwoną kartkę.
Bartosz Slisz (Atlanta United) – zakończył sezon.
Sebastian Szymański (Fenerbahce) – 9 minut w wygranym 3:0 meczu z Eyupsporem.
Nicola Zalewski (Atalanta Bergamo) – 21 minut i asysta w wygranym 1:0 meczu z Genoą.
Piotr Zieliński (Inter Mediolan) – 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Bologną.
Jakub Piotrowski (Udinese) – 90. minut i asysta w przegranym 1:5 meczu z Fiorentiną.

Napastnicy:
Adam Buksa (Udinese) – 26. minut w przegranym 1:5 meczu z Fiorentiną.
Robert Lewandowski (FC Barcelona) – 29 minut w wygranym 2:0 meczu z Villarrealem.
Karol Świderski (Panathinaikos) – 66 minut i żółta kartka w przegranym 0:2 meczu z PAOK-iem.

Tomasiak najwyżej wśród Polaków na liście płac Pucharu Świata skoczków

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. **Po 10 z 35 zawodów numerem 1 na liście płac jest lider Pucharu Świata Domen Prevc.**

Kacper Tomasiak po udanym weekendzie w Szwajcarii, gdzie zajął 13. miejsce w sobotę i piąte w niedzielę, awansował w zestawieniu zarobków na 13. lokatę. Na jego koncie jest ponad 28 tysięcy euro, czyli około 120 tys. zł.

Domen Prevc, który w sobotę był pierwszy i wygrał piąty raz z rzędu w sezonie, a w niedzielę musiał uznać wyższość jedynie Japończyka Ryoyu Kobayashiego, zarobił już 134 775 euro, czyli 566 tys. zł.

Zwycięzca klasyfikacji generalnej Pucharu Świata i lider płac w minionym sezonie, Austriak Daniel Tschofenig, jest obecnie ósmy na liście zarobków (54 650 euro), po tym jak w Engelbergu nie zdołał w niedzielę zakwalifikować się do drugiej serii.

Po raz pierwszy w historii FIS nagrody finansowe wypłaca nie we frankach szwajcarskich, lecz w euro. Za pierwsze miejsce w konkursie indywidualnym płaci się 15 tys. euro, a za zwycięstwo w kwalifikacjach 3175 euro. Nagrodę finansową otrzymuje każdy skoczek, który wystąpił w drugiej serii. Za 30. pozycję jest to 500 euro. Za pierwsze miejsce w konkursie drużynowym i mikstów każdy z uczestników dostaje 8500 euro.

Oficjalne premie nie są jedynymi dochodami skoczków narciarskich. Zawodnicy ze światowej czołówki mają podpisane prywatne kontrakty sponsorskie i reklamowe, których wysokość jest objęta tajemnicą. ©℗

LISTA PŁAC PUCHARU ŚWIATA
(kwoty w euro i złotych)
1. Domen Prevc (Słowenia) 134 775 (566 000).
2. Ryoyu Kobayashi (Japonia) 103 075 (432 900).
3. Philipp Raimund (Niemcy) 76 175 (319 900).
.....
13. Kacper Tomasiak (Polska) 28 450 (119 500).
23. Kamil Stoch (Polska) 16 325 (68 600).
24. Piotr Żyła (Polska) 13 200 (55 400).
32. Paweł Wąsek (Polska) 6 450 (27 200).
36. Dawid Kubacki (Polska) 5 100 (21 400).
37. Maciej Kot (Polska) 4 200 (17 600).

FOT. EPA/PAP

Osiemnastoletni Kacper Tomasiak zarobił dotychczas najwięcej spośród Polaków w Pucharze Świata skoczków

Czy FC Barcelona powinna zostawić Lewandowskiego? Za i przeciw

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Robert Lewandowski młodszy już nie będzie. W przyszłym roku skończy 38 lat, a jego kontrakt z FC Barceloną obowiązuje tylko do końca obecnego sezonu.**

Pojawia się więc pytanie, czy mistrzowie Hiszpanii zdecydują się na jego przedłużenie. Oto argumenty za i przeciw.

W kuluarach coraz częściej słychać, że może to być ostatnia kampania kapitana reprezentacji Polski w barwach Barcelony. Tym bardziej że po Lewandowskiego ustawiła się już kolejka chętnych – wśród nich wymienia się kluby z Arabii Saudyjskiej, amerykańskie Chicago Fire oraz włoski AC Milan. Te zespoły mogą zaproponować Polakowi znacznie lepsze warunki finansowe niż te, które może zaoferować Barcelona.

W tym sezonie Lewandowski radzi sobie gorzej. Strzelił 8 goli w La Liga, a w Lidze Mistrzów wciąż czeka na premierowe trafienie w trwającej kampanii. Jego licznik zatrzymał się na 105 trafieniach.

Argumenty „za”

Gwarantuje 15+ goli w roku – trudno sobie wyobrazić, by Robert Lewandowski miał zejść poniżej pewnego poziomu. Nawet gdy zaczyna mecze na ławce rezerwowych, jak w ostatnich występach Barcelony, wciąż potrafi trafiać do siatki. Znaleźć innego środkowego napastnika w jego wieku, który w ciągu jednego roku kalendarzowego zdobyłby aż 27 bramek, graniczy z cudem. Nawet Cristiano Ronaldo czy Lionel Messi dziś funkcjonują raczej na peryferiach wielkiej piłki i nie odgrywają już kluczowych ról w europejskim futbolu.

Doświadczenie i leadership – Lewandowski w Barcelonie to nie tylko superstrzelec, ale przede wszystkim mentor i lider młodszych zawodników, takich jak Gavi, Pedri, Lamine Yamal czy Fermín López. Jego ogromne doświadczenie i obycie na europejskich boiskach bez wątpienia wpływa na postawę całej drużyny.

Argumenty „przeciw”

Wiek i perspektywy na przyszłość – Robert ma ponad 36 lat, a to oznacza u niego naturalny spadek dynamiki i wydolności, co może być coraz bardziej widoczne. Mogliśmy to obserwować w ostatnich meczach, w których zaczynał na ławce rezerwowych i ewentualnie podnosił się z niej w drugiej połowie rywalizacji.

Koszty kontraktu – jeśli Barcelona zdecyduje się przedłużyć umowę z „Lewym”, na pewno nie będzie to na obecnych warunkach, a sam piłkarz będzie musiał liczyć się ze znaczną obniżką wynagrodzenia.

Coraz częstsze kontuzje utrudniające mu regularną grę i strzelanie goli.

Co zrobi Laporta?

Prezes Barcelony Joan Laporta przed podjęciem decyzji powinien powyższe „za” i „przeciw” wziąć pod uwagę, a także kogo z rynku i za jaką kwotę mógłby ściągnąć jako „9” na następcę polskiego goleadora. Dopiero te wytyczne dadzą właściwą odpowiedź.

©℗

eprasa.pl fc4eac13b3

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

Kacper Nowak podpisał nowy kontrakt ze Świtem Szczecin. 24-letni zawodnik (zdj.) może grać jako boczny obrońca lub pomocnik. Ze względów regulaminowanych (obsada młodzieżowca) w tym sezonie zagrał w 15 meczach Świtu, ale w większości jako zmiennik. Zaliczył jedną asystę. Z końcem grudnia kończył mu się kontrakt, ale piłkarz i klub chcieli przedłużenia współpracy.

FOT. ŚWIT SZCZECIN

FUTSAL

Za nami 5. kolejka III ligi KSM Parsęcko Futsal ZZPN: Wielim Szczecinek - Futsal Kołobrzeg 7:4, SAF Szczecin - Extra Time Pro Futsal Koszalin 12:0. W tabeli prowadzi Szczecińska Akademia Futsalu, 3 punkty przed Wielimem.

Chemik w świetnym stylu zakończył pierwszą rundę

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

SIATKÓWKA. **Z bilansem 5 zwycięstw i 6 porażek Lotto Chemik Police zakończył pierwszą część rundy zasadniczej Tauron Ligi. Jest w ósemce tabeli.**

Na finiszu rundy chemiczanki złapały lepszą dyspozycję. Urwały punkt ŁKS w Łodzi, później za trzy punkty pokonały Radomkę Radom, a w niedzielny wieczór mocno rozbiły ekipę Stali Mielec i to na jej parkiecie.

- To był koncert - podkreślali w komentarzach policcy kibice. Jak najbardziej słusznie, bo Chemik w trzech setach dominował, a jedynie w drugim było więcej emocji, bo Stal prowadziła 21:19, ale zdobył 4 punkty z rzędu, a seta zakończyła po atakach Julia Orzoł.

Kolejny mecz Chemika w elicie - 5 stycznia w Mogilnie.

Stal Mielec - Lotto Chemik Police 0:3. Sety: 20:25, 23:25, 19:25.

Chemik: Orzoł 20, Mędrzyk 14, Gierszewska 12, Różyńska 10, Partyka 1, Rybak-Czyrniańska oraz Nowak (libero) - Koput 1, Dorywalska, Ropela-Puzdrowska (libero). ©℗

FOT. CHEMIK POLICE

Siatkarki Chemika po wygranej w Mielcu. Z lewej MVP spotkania Julia Orzoł

Świt walczy o stadion. Trochę optymizmu przed świętami

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

PIŁKA NOŻNA. - **Intencją stron jest wypracowanie takiego porozumienia, aby nadal można było grać na szczeblu centralnym na Północy Szczecina - głosi komunikat drugoligowego Świtu.**

Oświadczenie działaczy Świtu oczywiście związane jest z kwestią stadionu przy ul. Stołczyńskiej, która cały czas jest źródłem negatywnych emocji.

Przypomnijmy: Świt mocno rozwinął się sportowo w ostatnich latach, ale wraz z tym nie poszły zmiany infrastrukturalne. Dopiero po awansie do II ligi - miasto przeprowadziło wstępne zmiany, by klub uzyskał licencję na grę, ale też padały obietnice (z każdej strony politycznej), że szybko rozpocznie się właściwa modernizacja obiektu. Przetarg był już ogłoszony, poznaliśmy jego wyniki, ale radni KO zablokowali kontynuację prac. Przewidzianą na inwestycję na Stołczyńskiej pulę 55 mln zł przeznaczyli na budowę lub modernizację innych boisk.

Świt został z niczym, ale cały czas nie traci nadziei, że jednak zdoła przekonać magistrat i radnych do pomocy. Bez nowej trybuny ze stałymi szatniami - klub może nie dostać licencji na nowy sezon, a te prace były obiecywane przez miasto przy poprzednich wnioskach do Komisji Licencyjnej.

- Komisja ds. Licencji Klubowych Polskiego Związku Piłki Nożnej zakończyła prace nad wnioskiem Świtu w zakresie zmiany dotychczasowych uzgodnień z Miastem Szczecin w sprawie minimalnych wymogów infrastrukturalnych dla obiektu sportowego przy ul. Stołczyńskiej w Szczecinie na sezon 2026/2027 i w latach następnych w rozgrywkach 2. Ligi oraz na zapleczu Ekstraklasy. Co istotne - wytycznych, które tak terminowo, jak i finansowo jest w zrealizować Gmina Szczecin. Uspokajamy również, że intencją stron, czyli KS Świt, Klubu Radnych Koalicji Obywatelskiej w Radzie Miasta Szczecin, pozostałych zainteresowanych, jak również odpowiedzialnego za sport w naszym mieście Zastępcy Prezydenta Pana Marcina Biskupskiego jest wypracowanie takiego porozumienia, aby nadal można było grać na szczeblu centralnym na Północy Szczecina - głosi komunikat Świtu.

Głos PZPN ma być znany do końca roku. Związek może jednak poczekać na jasne stanowisko miasta Szczecin. Sygnały są takie, że trwają ustalenia, by ogłosić nowy przetarg, ale zakres prac mocno ograniczyć finansowo. W jesiennym przetargu najtańsza oferta była na 42 mln i miasto było gotowe podjąć się tego zadania. Teraz mówi się, by wydatki na obiekt przy Stołczyńskiej nie przekroczyły 20 mln zł. ©℗

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Kibice na meczach Świtu zasiadają teraz na tymczasowej trybunie. Jak nie pada deszcz - warunki są znośne

Spójnia przed świętami wygrała i straciła gracza

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

I LIGA KOSZYKARZY. **PGE Spójnia Stargard źle rozpoczęła spotkanie z Polonią Warszawa, ale szybko opanowała sytuację i pewnie pokonała rywala.**

Na samym początku Polonia zdobyła sześć punktów z rzędu, a przed kolejne minuty wynik był na styku. W końcówce pierwszej kwarty Spójnia złapała serię punktową, odskoczyła i do końca już dominowała. - Super zwycięstwo przed świętami, które spędzimy w dobrych humorach. Mieliśmy dużo, 28 asyst, czyli to pokazuje, że lubimy z sobą grać, ale wciąż jest pole do poprawy - mówił Jakub Karolak, skrzydłowy Spójni.

- Liczba asyst, niewielka liczba strat to były naprawdę pozytywne elementy w naszej grze. Polonia ambitnie walczyła, ale my potrafiliśmy przetrwać trudniejsze momenty. Nie pozwoliliśmy im, by ten mecz zrobił się bardziej nerwowy - dodał Marek Popiołek, trener Spójni.

Mecz z Polonią był ostatnim w drużynie Spójni dla Francisa Hana. Skończył mu się krótka umowa i wraca do Portoryko.

W jego miejsce Spójnia stopniowo będzie przywracać do gry rekonwalescenta - Igora Wadowskiego.

Spójnia jest 6., a 29 grudnia zagra w Inowrocławiu.

PGE Spójnia Stargard - Polonia Warszawa 87:73. Kwarty: 19:15, 23:19, 24:21, 21:18.

Spójnia: Czerlonko 18 (4), Gromovs 15, Szmit 13 (4), Mokros 13 (1), Ray 5 (1) - Karolak 13, Jęch 7, Rajewicz 3, Han. ©℗

FOT. SPÓJNIA STARGARD

Szymon Szmit zdobył 13 punktów w meczu z Polonią

Zaborowski zakończył karierę

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

PŁYWANIE. **31-letni Filip Zaborowski przez wiele lat był liderem MKP Szczecin, seryjnie zdobywał medale MP i reprezentował klub na imprezach światowych.**

Zaborowski był m.in. olimpijczykiem w Rio de Janeiro, brał udział w MŚ i ME. Specjalizował się na średnich dystansach stylu dowolnego, na których zawsze konkurencja jest największa. A mimo to latami był najlepszy w kraju (np. 8 razy był mistrzem Polski na 400 m kraulem). Od kilku sezonów starty w basenie były jedynie uzupełnieniem treningów i występów w aquabike. W tej konkurencji też zaczął osiągać sukcesy. A skoro zimowe MP 2025 odbyły się w szczecińskiej Floating Arenie to właśnie tu po raz ostatni wystartował w MP.

Najlepsze osiągnięcia MKP w MP: 800 m K kraulem: 1. Klaudia Tarasiewicz, 3. Weronika Małolepsza, 7. Natalia Duda; 400 m kraulem: 1. Wiktoria Guść, 2. Tarasiewicz, 6. Małolepsza, 9. N. Duda; 100 m kraulem: 2. Guść; 1500 m kraulem: 3. Małolepsza, 6. N. Duda; 100 m motylkiem: 5. Anna Duda; 4x200 m dowolnym: 1. MKP (Guść, N. Duda, A. Duda, Tarasiewicz); 200 m motylkiem: 6. A. Duda; 200 m klasykiem: 4. Julia Iwanow; 50 m motylkiem: 10. A. Duda; 200 m zmiennym: 1. Guść. 1500 m M kraulem: 3. Bartosz Staniszewski, 4. Mateusz Ciba, 6. Michał Gnaczyński, 9. Miłosz Piętka; 400 m kraulem: 6. Filip Zaborowski, 7. Staniszewski; 800 m kraulem: 3. Staniszewski, 5. Zaborowski, 6. Gnaczyński, 7. Ciba; 200 m grzbietem: 6. Jan Pera, 9. Jakub Szpaler; 100 m grzbietem: 2. Tomasz Polewka, 9. Pera; 50 m grzbietem: 2. Polewka, 9. Kacper Czapla; 100 m motylkiem: 4. Kacper Czapla; 4x200 m kraulem: 3. MKP (Zaborowski, Bartosz Darul, Gnaczyński, Staniszewski); 400 m zmiennym: 9. Radosław Kryś; 50 m motylkiem: 3. Czapla. ©℗

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Filip Zaborowski

eprasa.pl fc4eac13b3

PULS
#196

Zwolnij

BT

eprasa.pl fc4eac13b3

Głos Dziennik Pomorza
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu, który burzy nasze wyobrażenia o sile, sukcesie i skuteczności: Bóg przychodzi jako bezbronne dziecko, zdany na ludzką miłość. W rozmowie z bp. Damianem Muskusem, franciszkaninem pytamy o sens tej słabości, o Betlejem jako prowokację wobec współczesnego świata oraz o święta, które nie są jedynie tradycją, lecz zaproszeniem do zmiany życia.

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Nowonarodzony. Obraz francuskiego malarza Georges'a de La Toura

BÓG, KTÓRY RYZYKUJE MIŁOŚĆ. DLACZEGO ZBAWIENIE PRZYSZŁO PRZEZ BEZBRONNOŚĆ DZIECKA?

Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu: Bóg wybiera bezbronność dziecka. Dlaczego – z perspektywy wiary – to właśnie słabość, a nie potęga, okazuje się drogą zbawienia?

Niemowlę jest całkowicie zależne od rodziców. Wymaga nieustannej uwagi, czułej i troskliwej opieki, ochrony przed niesprzyjającymi warunkami, karmienia, tulenia, czuwania nad jego bezpieczeństwem. Bóg, który przychodzi na świat jako maleńkie dziecko, oddaje nam się całkowicie. Jest, ośmielę się powiedzieć, zależny od naszej miłości, od naszej dobrej woli i uwagi. On chce być kochany. Chce być jednym z nas. Rzeczywiście mógł nas zbawić przez jedno swoje słowo, ale postanowił, że stanie się człowiekiem i zamieszka wśród nas, że będzie zwyczajnie żył, że będzie doświadczał ludzkich radości i smutków. Dlaczego? Wspaniale o tym mówił papież Franciszek w homilii wygłoszonej na mszy św. w sanktuarium jasnogórskim w 2016 roku. Mówił o Bogu, który chce nas zbawiać, będąc małym, bliskim i konkretnym. Pamiętam jego słowa: „Pan nie chce, żeby się Go lękano jako możnego i dalekiego władcy, nie chce przebywać na tronie w niebie czy w podręcznikach historii, ale pragnie schodzić w nasze codzienne wydarzenia, aby iść z nami". Bogu obca jest logika władzy, wielkości i znaczenia. To jest myślenie ludzkie, nie Boże. On umiłował codzienne drogi, ubogie znaki i zwyczajnych ludzi. Ma pani rację, Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu, ale właściwie w dziele zbawienia wszystko jest, w świetle ludzkiej logiki, paradoksem.

Co mówi nam fakt, że Bóg przychodzi na świat poza domem, w miejscu prowizorycznym, jakim była „nędzna szopa"? Jak to czytać dziś – społecznie i duchowo?

Pewnie dla każdego ta prawda ma inne znaczenie, bo odczytujemy ją w różnych kontekstach kulturowych, społecznych, ale także osobistych. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na kilka wątków, o których czytamy w Ewangelii, świętując Boże Narodzenie. Jezus narodził się w miejscu przypadkowym, dalekim od królewskich standardów, a to wynika z owej logiki małości, bliskości i konkretu, o której wspominałem. Gdyby przyszedł na świat w pałacu, byłby dostępny dla wybranych i uprzywilejowanych społecznie. Gdyby przyszedł na świat w czterech ścianach zwyczajnego domu, byłoby trudniej Go odnaleźć. Nawet gwiazda betlejemska pewnie nie byłaby w stanie sforsować ochronnego muru

eprasa.pl fc4eac13b3

miłości świeżo upieczonych rodziców tego Dziecka. Natomiast grota jest miejscem dostępnym dla wszystkich. Małego Boga mogli więc odwiedzić zarówno pasterze, ludzie prostej, ciężkiej pracy, jak i mędrcy z dalekich stron. Jezus nie przyszedł na świat dla wybrańców, ale dla każdego bez wyjątku. To oznacza, niestety, również to, że od pierwszych dni życia na ziemi Bóg był narażony na niebezpieczeństwo ze strony nienawidzących Go ludzi, gotowych zabić bezbronnego z powodu szalonego pragnienia władzy, w imię której instrumentalizowali religię. Aby być dostępnym dla wszystkich, Bóg całkowicie oddał się w nasze ręce, bez żadnych warunków. Boże przyjście na świat w takich prowizorycznych warunkach wiele też mówi o naszej ludzkiej kondycji. O naszej bezdomności na ziemi, której jedni doświadczają dosłownie, bardzo realnie, a inni o niej zapominają, przywiązując się do świata, w którym wszystko jest przecież ulotne i przemijające. Ale żłóbek betlejemski wskazuje również na to, że wiara jest bardziej drogą niż domem. Zarówno pasterze, jak i mędrcy, musieli wyruszyć w drogę, by spotkać Boga. Przypomnę, że On objawił się im w chwili, gdy byli zajęci swoją pracą. Pasterze przebywali wówczas w polu, gdzie pilnowali stada, a mędrcy pogrążeni byli w intelektualnych dociekaniach nad światem. Musieli zostawić swoje zajęcia, by wyruszyć na spotkanie. Jeśli wiara jest drogą, oznacza to również ryzyko błądzenia, zmęczenia, wątpliwości. A zarazem jest to też miejsce rozwoju, twórczości, gotowości na niespodziewane i nadziei, która jest motorem każdej wędrówki.

Czy w świecie, który ceni pracę, skuteczność, sukces i siłę, tajemnica Betlejem nie brzmi dziś trochę jak prowokacja? Jakie pytanie Bóg zadaje dziś człowiekowi, rodząc się w Betlejem XXI wieku?
Betlejem XXI wieku w sensie geopolitycznym jest dziś miejscem niespokojnym, a jego mieszkańcy ponad wszystko pragną pokoju, który jest niezbędny, by żyć bez lęku. Oni na własnej skórze od lat odczuwają prawdę, że żadna ludzka siła, żadne negocjacje pokojowe, choćby prowadzone przez genialnych i znanych ze skuteczności strategów, tego trwałego pokoju nie zapewnią. Pokój zaprowadzany przez ludzi zawsze jest niestabilny. Zapomnieliśmy już o tym pod naszą szerokością geograficzną, bo mamy przywilej bezpiecznego życia, ale nasi wschodni sąsiedzi boleśnie tego doświadczają. Ludzki pokój jest nietrwały, nie zagwarantują go żadne traktaty zawierane między mocarstwami. Betlejem mówi nam, że pokój jest jednak możliwy nawet w samym środku zamętu, strachu o życie i braku poczucia bezpieczeństwa. Jest to pokój, który daje światu miłość Boga. To pokój, który płynie z pewności, że wszyscy jesteśmy w Jego rękach i cokolwiek na ziemi się nie wydarzy, choćbyśmy nawet życie stracili, to w perspektywie wieczności nic złego nam się nie stanie, bo Jego miłość nas chroni. To oczywiście nie jest łatwe do przyjęcia, bo mamy w pamięci losy niezliczonych współczesnych męczenników wojen i konfliktów. Jednak żadna ludzka siła nie odbierze nam pokoju serca, którym obdarza nas Bóg. Myślę, że dziś, w naszych niespokojnych, niepewnych czasach, On przychodzi z pytaniem o zaufanie i nadzieję. Czy potrafimy zaufać Jego miłości? Z jakich źródeł czerpiemy naszą nadzieję, gdy wokół ogarniają nas ciemność i zamęt? Wbrew pozorom, to nie są tylko pytania stawiane wierzącym w Niego. Każdy człowiek – czy to wierzący, czy poszukujący, czy niewierzący – powinien z tymi pytaniami się zmierzyć. Co jest naszym fundamentem? Jakich wartości chcemy bronić? Czy są w naszym życiu sprawy cenniejsze niż samo życie?

Można powiedzieć, że Boże Narodzenie to święto Boga, który nie narzuca się człowiekowi, ryzykuje odrzucenie, ale czeka na jego odpowiedź. Co to mówi o Bożej miłości?
Dotykamy tu kolejnego paradoksu. Potężny, wszechmogący Bóg, Stwórca świata i człowieka, jest bezradny wobec ludzkiej wolności. Kochając, daje nam prawo wyboru i szanuje konsekwencje tych wyborów. Mógłby nas zbawić wbrew nam samym, ale tego nie robi. Zależy Mu na naszym dobru, ale pragnie, byśmy sami, w wolności, wybierali dobro. Daje nam przestrzeń, bez której miłość po prostu nie jest możliwa. Dzięki temu możemy wybrać, czy chcemy żyć z Nim, czy wolimy życie bez Niego. On nie chce też, by Jego Kościół był światem niewolników, pomyślał go jako miejsce ludzi wolnych, twórczych, myślących i odważnych. Wszelkie zniewolenia, również te w sferze sumienia, są konstruktem ludzkim, nie Bożym.

Święta obchodzimy co roku. Mamy jeszcze zdolność zdziwienia się Bożym Narodzeniem, czy raczej wiemy już „wszystko" i dlatego niewiele nas porusza?
To oczywiście kwestia indywidualna. Fakt, że co roku przeżywamy tę tajemnicę, że święta te mają swój rytm i tradycje, może spowodować rutynę. Co roku jest adwent, roraty, co roku idziemy na pasterkę, przygotowujemy dom na święta. To wszystko może skutkować pewnym znieczuleniem na nowość Bożego Narodzenia, nawet jeśli wyczekujemy tych dni z radością. Jednak Boże Narodzenie nie odbywa się w oderwaniu od naszego życia. Każdy rok przynosi nowe doświadczenia, zmieniamy się, zmienia się świat wokół nas, przeżywamy nowe radości i troski. Warto tajemnicę Bożego Narodzenia przyjmować w takim kontekście, w kontekście codzienności, i zadawać sobie pytanie, co prawda o Nowonarodzonym Jezusie wnosi do mojego życia tu i teraz, w tym, co aktualnie jest dla mnie ważne, co mnie angażuje, co boli i co daje szczęście? Myślę, że jeśli pozwolimy, by Słowo, które stało się Ciałem, opowiadało nam o sensie tego wszystkiego, będziemy wciąż na nowo odkrywać Boże Narodzenie i zachwycać się niezwykłością tego wydarzenia.

Jakie niebezpieczeństwo niesie „oswojenie" Jezusa – uczynienie Go miłym elementem świątecznego krajobrazu, a nie kimś, kto zmienia życie?
W tym pytaniu kryje się już odpowiedź. Jeśli Jezus będzie tylko „miłym elementem świątecznego krajobrazu", Dzieciątkiem w żłóbeczku, o którym śpiewamy kolędy, i nie dopuścimy Go do naszego życia, nigdy nie stanie się dla nas Kimś, kto to życie zmienia, kto nadaje mu sens i kierunek. Jezus Chrystus nie jest elementem tradycji, jest żywą Osobą. Nie jest bajką opowiadaną po to, by poprawić nam samopoczucie, ale Kimś, kto nas kocha bez granic. Jeśli pyta Pani o to, jakie niebezpieczeństwo niesie „oswojenie" Jezusa, to mogę odpowiedzieć tylko tyle: nie spotkamy Go, jeśli będzie dla nas wyłącznie dekoracją pod choinką czy bohaterem rzewnych kolęd. Rozminiemy się z Nim w drodze, nie odnajdziemy Go, a Boże Narodzenie zostanie zredukowane do czasu zimowego odpoczynku, jakiejś przerwy w codzienności. Tracąc sens Bożego Narodzenia, tracimy sens chrześcijaństwa. Jezus nie jest przecież dodatkiem do świętowania. Jest jego głównym Bohaterem.

Pasterze byli pierwszymi świadkami narodzin Jezusa, a Maryja i Józef – zwykłymi ludźmi. Czy w tym świetle Boże Narodzenie staje się świętem codzienności i zwykłego życia, a nie tylko wielkich wydarzeń?
I tak, i nie. Tak, bo zwyczajność życia Świętej Rodziny i ludzi, którzy jako pierwsi radowali się przyjściem Boga na świat, jest znakiem, że Bóg wchodzi w naszą codzienność. Nawet jeśli tego nie zauważamy, wchodzi w nią bowiem pokornie i niedostrzegalnie. Boże Narodzenie to przecież święto Emmanuela – Boga z nami, bliskiego naszym ludzkim sprawom, dzielącego nasz ziemski los. Ale z drugiej strony nie można zignorować faktu, że Boże Narodzenie to wydarzenie wielkie, przełomowe dla ludzkości, zasługujące na to, byśmy celebrowali je odświętnie i uroczyście. Potrzebujemy zresztą, i dla higieny psychicznej, i dla wzrostu duchowego, takich dni – pięknych, wzruszających, nawet podniosłych. Karmimy się nimi również po to, by ich odblask odkrywać w szarej codzienności.

Wiele osób przeżywa święta z poczuciem pustki, straty lub samotności. Boże Narodzenie jest także świętem ludzi zranionych i przegranych?
Boże Narodzenie jest świętem wszystkich ludzi, również tych, którzy cierpią. Dla nich ten czas jest trudny, bo myślę, że pustkę, samotność, zranienia i żałobę w tych dniach odczuwa się intensywniej, bardziej boleśnie i dojmująco. Jeśli codzienność nas przytłacza, Boże Narodzenie nie stanie się cudownym lekiem, który ją uleczy. Pusty talerz przypomina nam o tęsknocie za kimś, kogo już nie ma, opłatek, którym nie mamy z kim się przełamać, mówi o samotności więcej i rozpaczliwiej niż codzienność. Dotknęła pani bardzo trudnej kwestii, bo również kultura nie ułatwia przeżywania tych świąt w zgodzie z samym sobą. Zewsząd słyszymy pogodne świąteczne melodie, reklamy pokazują uśmiechnięte, szczęśliwe rodziny. Można mówić o pewnej presji, którą ten świat – zazwyczaj z powodów komercyjnych – wywiera na nas, by w okresie Bożego Narodzenia emanować radością. Ale Jezus, który przyszedł na świat w ekstremalnie trudnych warunkach, jest solidarny zwłaszcza z ludźmi, którzy są w bolesnych sytuacjach życiowych, widzi ich łzy i osamotnienie. Jeśli ktoś czuje się źle w tym czasie, nie powinniśmy go zmuszać do uśmiechu i próbować uszczęśliwiać na siłę. Ważniejsza jest wtedy obecność, której nie zagłuszy hałas świątecznych tradycji. Jeśli sami czujemy się źle, jesteśmy poranieni i opłakujemy nasze straty, pozwólmy sobie na to, by przeżywać ten czas po swojemu, w swoim tempie, dbając o siebie tak, jak dyktuje nam serce. Nie ma obowiązku radosnego świętowania na przekór temu, co się aktualnie przeżywa. Jeśli czytamy Boże Narodzenie w kontekście naszej codzienności, odkryjemy jego przemieniającą, kojącą i łagodną siłę.

Czy da się przeżyć Boże Narodzenie głęboko, nie uciekając od trudnych tematów: wojny, migracji, ubóstwa, podziałów społecznych?
Myślę, że one wtedy się narzucają ze zdwojoną siłą i stają się naturalnym tematem rozmów przy świątecznych stołach. Kluczem jest tu umiejętność słuchania. Polaryzacja jest tak silna, że wkroczyła również do rodzin, dzieląc nas na różnych poziomach: wrażliwości, poglądów, patrzenia na świat. Boże Narodzenie to święto, zwłaszcza w polskiej tradycji, przeżywane jako czas bliskości, jedności, pokoju. Czasem niestety na własne życzenie rujnujemy go sobie, pozwalając na jałowe dyskusje, które szybko przeradzają się w konflikty. Chciałbym, aby świętowanie Bożego Narodzenia było wolne od napięć, ale obawiam się, że to jest trudne do uniknięcia, bo nie celebrujemy świąt w oderwaniu od rzeczywistości. Jesteśmy w nią zanurzeni. Problem polega na tym, czy potrafimy się nią dzielić w taki sposób, by nie tworzyć kolejnych niepokojów – z zaciekawieniem, z chęcią poznania innych punktów widzenia, nie strasząc się wzajemnie posępnymi wizjami przyszłości, ale dzieląc się nadzieją, o którą wszyscy powinniśmy dziś szczególnie dbać. Bez nadziei przecież nasza wiara karłowacieje, a miłość traci siłę. Boże Narodzenie to święta nadziei. Każde nowe życie nią jest, a życie, które przyszło na świat w Betlejem, przynosi nadzieję silniejszą niż wszystkie nasze spory, lęki i podziały.

Jak nie stracić duchowego sensu świąt, nie odcinając się jednocześnie od ich rodzinnego i kulturowego wymiaru?
To coraz trudniejsze wyzwanie, ale nie niemożliwe do osiągnięcia. Do granic skomercjalizowana kultura tego czasu nie ułatwia nam tego zadania, ale z drugiej strony – ubogi i mały Jezus ma większą siłę oddziaływania niż najgłośniejsze, najbardziej przyciągające marketingowe chwyty sprzedawców świątecznego szczęścia. Trzeba tylko się wsłuchać. To naprawdę od nas zależy, na czym położymy akcent w naszym świętowaniu. Nie jesteśmy niewolnikami kultury, cieszmy się Bożym Narodzeniem po swojemu. Wymiar rodzinny świąt ma też swój wymiar duchowy. Świętujemy przecież spotkanie z Bogiem, który jest między nami. Obecność, słuchanie, dialog, wspólnota stołu i modlitwy – to ważna część naszej duchowości. Nawet jeśli się różnimy, nawet jeśli okazuje się, że przy jednym stole zasiadają ludzie, którzy świętują różne sprawy, bo dla każdego z nich Boże Narodzenie znaczy coś innego. Nie możemy w imię duchowego sensu lekceważyć spotkania z bliskimi albo wymiaru kulturowego tych świąt. Jesteśmy jednością ciała, ducha, psychiki i emocji, i świętujemy jako cały człowiek. Dla naszego ducha ważna jest modlitwa, ale także spotkanie z rodziną czy nawet smak świątecznego piernika. Wszystko ma znaczenie, najważniejsze jest to, by odnaleźć równowagę między tymi elementami.

Gdyby Ksiądz Biskup miał wskazać jedno zdanie z Ewangelii, które najlepiej streszcza sens Bożego Narodzenia, które by to było i dlaczego?
„Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie" (Łk 2, 7). To zdanie jest streszczeniem wszystkich paradoksów Bożego Narodzenia, opisem Boga, który jest maleńki, bliski i konkretny, zapowiedzią Jego odrzucenia, ale i miłości, którą rozpoznajemy w czułych słowach „owinęła Go w pieluszki". Świadomość, że Bóg, jak każdy z nas, ssał mleko swojej Matki, że było mu zimno i kwilił, gdy był głodny, jest niezwykle wzruszająca, ale i umacniająca poczucie sensu naszego ludzkiego życia. Poza tym, jako duchowny syn św. Franciszka z Asyżu, wspominam te słowa, bo to one natchnęły Biedaczynę do stworzenia w Greccio pierwszej szopki. „Chcę naocznie pokazać Jego (Jezusa) braki w niemowlęcych potrzebach, jak został położony w żłobie i jak złożony na sianie w towarzystwie wołu i osła". W tych słowach mieści się prostota, ubóstwo i pokora Syna Bożego, Emmanuela – Boga z nami.

FOT. ARCHIWUM

bp Damian Muskus
franciszkanin, biskup pomocniczy Archidiecezji Krakowskiej

eprasa.pl fc4eac13b3

Głos Dziennik Pomorza
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

WIGILIA NA 30 OSÓB. BO 50 LAT TEMU ZAŁOŻYLI RODZINNY DOM DZIECKA

Pół wieku temu Janina i Tadeusz Kamińscy podjęli decyzję, która zmieniła życie kilkunastu osób. W bloku na białostockim osiedlu stworzyli pierwszy w województwie podlaskim rodzinny dom dziecka. Dziś ich „dzieci" mają własne rodziny, domy, wnuki. Mimo to wciąż tworzą jedną, wielką rodzinę. Tę niezwykłą historię opowiada rodzona córka Janiny i Tadeusza – Jolanta

Agnieszka Domanowska

Rodzinna kronika leży na stole. Pożółkłe kartki, starannie prowadzone ręką Tadeusza Kamińskiego. - Tata zakładał tę kronikę, dziś już nie żyje - mówi Jolanta, jego córka, przeglądając zdjęcia sprzed pięćdziesięciu lat. Na fotografiach uśmiechnięte dzieci, świąteczny stół, Mikołaj w czapce.

„Kochane dzieci" - napisał Tadeusz na marginesie. I rzeczywiście, były to jego dzieci. Wszystkie.

Propozycja, która zmieniła życie

Rok 1975. W małej miejscowości koło Grajewa mieszkała rodzina nauczycieli. Tadeusz - dyrektor szkoły, Janina - kierowniczka.

- Mama też była taką aktywistką. Harcerstwo, PCK, robiła całej wsi zastrzyki, skończyła kursy - wspomina Jolanta.

Ktoś w Białymstoku o nich usłyszał i pewnego dnia do drzwi Kamińskich zapukali przedstawiciele wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci z nietypową propozycją: Czy nie chcieliby założyć rodzinnego domu dziecka?

- Tata się od razu zapalił - w Białymstoku córki będą miały przyszłość! Ale mama miała wątpliwości. „Nie mieliśmy kłopotów ze swoimi dziećmi, to nie wiesz, co znaczy mieć takie dzieci" - powiedziała do taty - wspomina Jolanta.

Jednak po długich rozmowach Kamińscy podjęli decyzję, która zmieniła ich życie.

Sierpień 1975 roku. Przeprowadzka do Białegostoku, do mieszkania w świeżo wybudowanym bloku przy ul. Warszawskiej. Dwa połączone lokale - razem siedem pokoi w surowym stanie.

FOT. PAWEŁ BALEJKO

Janina Kamińska (z lewej) była matką dla dziewięciorga dzieci. Miała dwie własne córki (z prawej siedzi Jola), a dla siedmiorga dzieciaków stworzyła rodzinę zastępczą

- Odgruzowywaliśmy od pierwszego sierpnia, myliśmy szyby, wszystko szorowaliśmy - wspomina Jolanta, która wtedy miała 15 lat i właśnie kończyła podstawówkę. Jej młodsza siostra, Ewa, szła do siódmej klasy.

Szóstka, która stała się siódemką

We wrześniu rodzinny dom dziecka ruszył. Choć nie było to takie proste, jak mogłoby się wydawać.

- W domach dziecka było mnóstwo dzieci, ale większość z nieuregulowaną sytuacją prawną - tłumaczy Jolanta.

Założenie rodzinnego domu, wynikające z przepisów, było jasne: sześcioro dzieci musi być. Przyjechała dziewczynka z Grodna, w wieku młodszej córki. Potem dwa lata młodsza dziewczynka z Łomży. Do tego chłopiec z Białegostoku i trójka maluchów - trzylatki.

- Tylko jedno dziecko było pełną sierotą. W przypadku pozostałych - rodzice byli pozbawieni praw lub mieli duże ograniczenie praw rodzicielskich - wyjaśnia Jolanta. - To były dzieci poranione przez życie, spragnione miłości i ciepła.

Siódme dziecko trafiło do rodziny Kamińskich przez przypadek. Tadeusz pracował w pogotowiu opiekuńczym. Przywieziono tam dziewczynkę - jej matka zostawiła rodzinę, ojciec był głuchoniemy.

- Tata powiedział: póki jeszcze system jej nie zepsuł, zabieramy ją do siebie - wspomina Jolanta.

Jeden z najmłodszych chłopców był bardzo chorowity.

- Mama cały czas mówiła, że on ma coś w buzi. Wszyscy myśleli, że wymyśla - wspomina Jolanta. Okazało się, że to złośliwy nowotwór. Dziecko przeszło operację i przeżyło.

- Mama uratowała mu życie, bo nie odpuszczała - podkreśla Jola.

Mówiły „mamo, tato". A to zobowiązuje

Na początku państwo Kamińscy zadali dzieciom ważne pytanie: jak chcą się do nich zwracać? Proszę pana, proszę pani? Ciociu, wujku? A może... mamo, tato?

- No oczywiście wybrały mamo, tato. I to zobowiązuje - podkreśla Jolanta. - W innych rodzinnych domach dziecka, które później powstawały w Białymstoku, było inaczej. Dzieci mówiły „ciociu", „wujku". Dorastały, odchodziły i kontakt się urywał. U nas było inaczej. My zauważyliśmy, że samo wymawianie słowa „tato", „mamo" sprawia im ogromną przyjemność, a wręcz uspokaja - wspomina Jolanta.

eprasa.pl fc4eac13b3

FOT. P. BALEJKO

FOT. P. BALEJKO

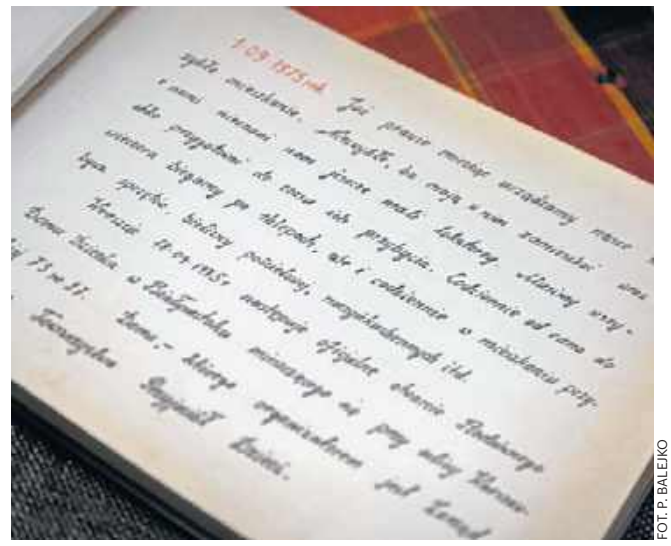
FOT. P. BALEJKO

Rodzinną kronikę założył i prowadził Tadeusz Kamiński. Wklejał tam zdjęcia z różnych rodzinnych uroczystości, a także z codziennego życia. Na fotografiach widać roześmiane buzie dziewięciorga dzieci. W kronice są też jego notatki oraz wycięte z gazet artykuły o pierwszym w województwie podlaskim rodzinnym domu dziecka

FOT. P. BALEJKO

FOT. P. BALEJKO

FOT. P. BALEJKO

Życie na garnkach i w kolejkach

Janina Kamińska wstawała codziennie o godzinie czwartej, piątej rano. Musiała przecież przygotować śniadanie dla jedenastu osób!

- Mama gotowała w garnkach wielkości kotłów. Było dziewięcioro dzieci i ich dwoje, to w sumie jedenaście osób. Żeby zrobić dla każdego po trzy gołąbki, to wychodziło trzydzieści trzy... - liczy Jolanta.

A trzeba pamiętać, że to były czasy PRL-u, czyli kartki na żywność, kolejki po wszystko.

- Stało się po buty dwa dni, trzy dni, a mama musiała dziewięć par w sumie kupić - opowiada. - W ogóle to były czasy, kiedy w sklepach nic nie było. Mama musiała rano kupować dziesięć litrów mleka, czyli przynosiła do domu... dziesięć szklanych butelek.

Dzieci przychodziły z trudnym bagażem. Na początku chowały jedzenie pod poduszki, bo bały się, że zabraknie.

- Gdyby wszystko stało na stole, to puszka pasztetu na jedną kanapkę by poszła - tłumaczy Jolanta. Dlatego Janina musiała sama robić kanapki dla wszystkich.

„Moje własne dzieci nie miały taty"

Dla córek państwa Kamińskich to nie było łatwe.

- My z siostrą właściwie nie miałyśmy rodziców - przyznaje szczerze Jolanta. - My problemów nie stwarzałyśmy i starałyśmy się ich nie stwarzać, bo widziałyśmy, ile rodzice mieli na głowie.

Jej młodsza siostra bardzo to przeżywała. Cztery lata temu zmarła na raka.

Formalny wymóg mówił, że rodzice, którzy chcą prowadzić rodzinny dom dziecka, muszą mieć swoje dzieci.

- Uważam, że to nie był dobry pomysł, bo jednak my z siostrą byłyśmy pokrzywdzone - przyznaje dziś Jolanta. - Państwo dawało kieszonkowe, jakieś grosze tamtym dzieciom, i my takie same dostawałyśmy. Mamy nie było stać, żeby kupować markowe dżinsy, które wtedy były modne, to i my nie miałyśmy. Dziś nie mam żalu, wtedy w sumie też...

Ale Jolancie udało się przekształcić to doświadczenie w coś pięknego.

- Ja to taki człowiek stadny - mówi o sobie.

Mieszkała z najmłodszą Edytką w ostatnim, siódmym pokoju.

- To ja wysadzałam ją w nocy na siusianie, prowadzałam do przedszkola. Zostałam też jej matką chrzestną - uśmiecha się.

Studia, rodziny, wnuki

Tadeusz Kamiński napisał pracę magisterską pt. „Proces integracji wychowanków rodzinnego domu dziecka". Zawarł tam ważne zdanie: „Uważam jednak, że wyrazem rzeczywistego powstania wzajemnej więzi między dziećmi i ich przybranymi rodzicami będzie postawa i stosunek dzieci usamodzielnionych do domu rodzinnego. A o tym będziemy mogli się przekonać dopiero za kilkanaście lat".

Przekonał się. Tadeusz Kamiński zmarł 15 lat temu, w wieku 67 lat.

- Miał nagły zawał - wspomina Jolanta. - Ale zdążył zobaczyć, jak jego dzieci zakładają rodziny, kończą studia, rodzą im się dzieci.

Dzisiaj wychowankowie państwa Kamińskich to dojrzali ludzie z własnymi rodzinami. Najstarsza przeszła już na emeryturę - przez całe życie pracowała jako księgowa w PSS-ie. Inna skończyła studia i została nauczycielką, była nawet wicedyrektorką szkoły. Kolejna ma własną kwiaciarnię. Jeden z chłopców uczy w liceum - był jednym z najlepszych studentów. Inny mieszka w Anglii.

- Wszyscy wyszli na prostą. Bardzo znaczącą prostą! - podkreśla Jolanta. Mają domy, rodziny, pracę. - Nie ma czegoś takiego, że jakieś ich złe nawyki z przeszłości odbiły się na ich własnych rodzinach. A bardzo często tak jest, prawda? Wychodząc z trudnej rodziny, trudno jest założyć własną dobrą rodzinę. Więc w naszym rodzinnym domu dziecka, w naszej rodzinie, musiało być naprawdę mnóstwo miłości i czułości, że te dzieci po prostu zapomniały o swoim życiu w rodzinach biologicznych.

„Mój brat, moja siostra"

Do dziś wszyscy utrzymują ze sobą kontakty.

- Dzwonimy do siebie, a jedna z moich sióstr to przychodzi tutaj dosyć często, z mężem - opowiada Jolanta.

Jeden z wychowanków zaś do dziś spędza u nich wszystkie święta.

- Mówimy do siebie: brat, siostra - przyznaje Jolanta.

Kiedy Tadeusz Kamiński zmarł, to właśnie jego wychowanek dziękował na cmentarzu wszystkim za przybycie i wspominał tatę.

- To jest po prostu rodzina. Jesteśmy rodziną - powtarza Jolanta.

Kiedy najmłodsza z wychowanek miała trafić do państwowego domu dziecka - po tym, jak Janina i Tadeusz zakończyli już prowadzenie domu rodzinnego - to właśnie Jolanta się temu sprzeciwiła.

- Ja wtedy byłam akurat sama z dziećmi, z dwójką moich dzieci, bo rozstałam się z mężem i dostałam połowę tego mieszkania. Mówię: o nie, tak to nie będzie, nie po to tyle lat była w domu rodzinnym, żeby teraz do domu dziecka na końcówkę wracać. I wzięłam ją do siebie - wspomina. Dziewczyna mieszkała u niej, dopóki nie wyszła za mąż.

Mama wciąż pamięta

Janina Kamińska ma dziś problemy z pamięcią. Mieszka u Jolanty, w połowie mieszkania przy ul. Warszawskiej, gdzie wszystko się zaczęło.

Ale pewne rzeczy Janina pamięta doskonale.

- To moje kochane dzieci - mówi ciepła i empatyczna staruszka.

Niedawno córka zapytała: - O czym mamusiu myślisz?

A Janina na to: - No tak przeanalizowałam swoje całe życie, od młodości do tego czasu. I doszłam do wniosku, że dobrze wychowałam te dzieci. To moje dzieci. Czasami też martwi się: - Nic nie robię, a wy ciągle coś robicie. Coś bym może zrobiła?

Wtedy zięć mówi: - Mamuś, ty się przez życie tyle napracowałaś, tyle zrobiłaś, że ty teraz powinnaś odpoczywać.

- To bez dwóch zdań jest anioł, a nie człowiek - podkreśla Jolanta. - Ona całe życie przepracowała, żyła cały czas dla wszystkich, wszystkim wszystko zrobiła. I dlatego chyba wybrali ją na prowadzenie tego rodzinnego domu dziecka.

Wigilia dla trzydziestu osób

Teraz, gdy zbliżają się święta, Jolanta liczy: „Ja mam dwójkę dzieci i dwójkę wnuków, to jest nas pięć, sześć osób. Bożenka siedem, osiem, dziewięć, Basia dziesięć..." I tak co roku dolicza do prawie trzydziestu osób.

W tym roku Wigilia znów będzie u niej. Przyjdzie Jarek, przyjdzie Krzysiek. I inni. Tacy, dla których „mama Janina" to po prostu mama. A Jolanta - to siostra.

- Dziś, tak jak przed laty, jesteśmy razem, tylko już bez taty i mojej siostry. Ale doskonale pamiętamy święta sprzed 50 lat. Też byliśmy razem. Razem ubieraliśmy choinkę, razem gotowaliśmy gigantyczne ilości jedzenia, choć nie zawsze było z czego, ale nasza mama zawsze coś poradziła. I prezenty... Były zawsze.

Jolanta pokazuje zdjęcie:

- To chyba z pierwszej wspólnej Wigilii. Kto był Świętym Mikołajem? No przecież ja - śmieje się.

Pięćdziesiąt lat temu Janina i Tadeusz Kamińscy przyjęli do swojego domu siedmioro obcych dzieci. Dziś te dzieci mają własne domy, własne rodziny, własne dzieci i wnuki. Ale wciąż wracają do tego pierwszego domu. Bo tam był - i wciąż jest - ich dom rodzinny. W najpiękniejszym tego słowa znaczeniu.

eprasa.pl fc4eac13b3

Głos Dziennik Pomorza
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

BOŻONARODZENIOWE CRIME STORY

Okres świąt to nie tylko czas radości, ale i wielkich dramatów. Zbrodnie dokonane w Boże Narodzenie są dość charakterystyczne. Stoją za nimi emocje: nienawiść, gniew, duma, zazdrość, uraza skrywana przez lata. Ofiary giną najczęściej z rąk bliskich sobie osób lub przynajmniej znajomych. Często przy świątecznym stole

Dorota Kowalska

Zbliża się Boże Narodzenie. Senior rodu Simeon Lee do swej rezydencji zaprasza rodzinę. Spotkanie jest nietypowe, gdyż Lee niemal nie utrzymywał z dziećmi kontaktów. Mało przyjemnej atmosfery nie poprawia pojawienie się uchodzącego za czarną owcę syna, a tym bardziej wnuczki, którą rodzina widzi po raz pierwszy. W ponurych nastrojach podsycanych pragnieniem odziedziczenia jak największego spadku zebrani dowiadują się o zabójstwie złośliwego milionera. Do akcji wkracza niezastąpiony Herkules Poirot. Przed detektywem trudna zagadka - okazuje się bowiem, że z sypialni Simeona zniknęły diamenty, nie wszyscy goście ujawnili prawdziwą tożsamość, a zamordowany miał niejednego wroga" - to zapowiedź książki pt. „Morderstwo w Boże Narodzenie" autorstwa niezawodnej Agathy Christie. Herkules Poirot oczywiście rozwiąże zagadkę śmierci Simeona Lee, podobnie jak nieksiążkowi śledczy rozwiązują w rzeczywistym świecie tajemnice morderstw dokonanych w czasie, który powinien nas łączyć, nie dzielić.

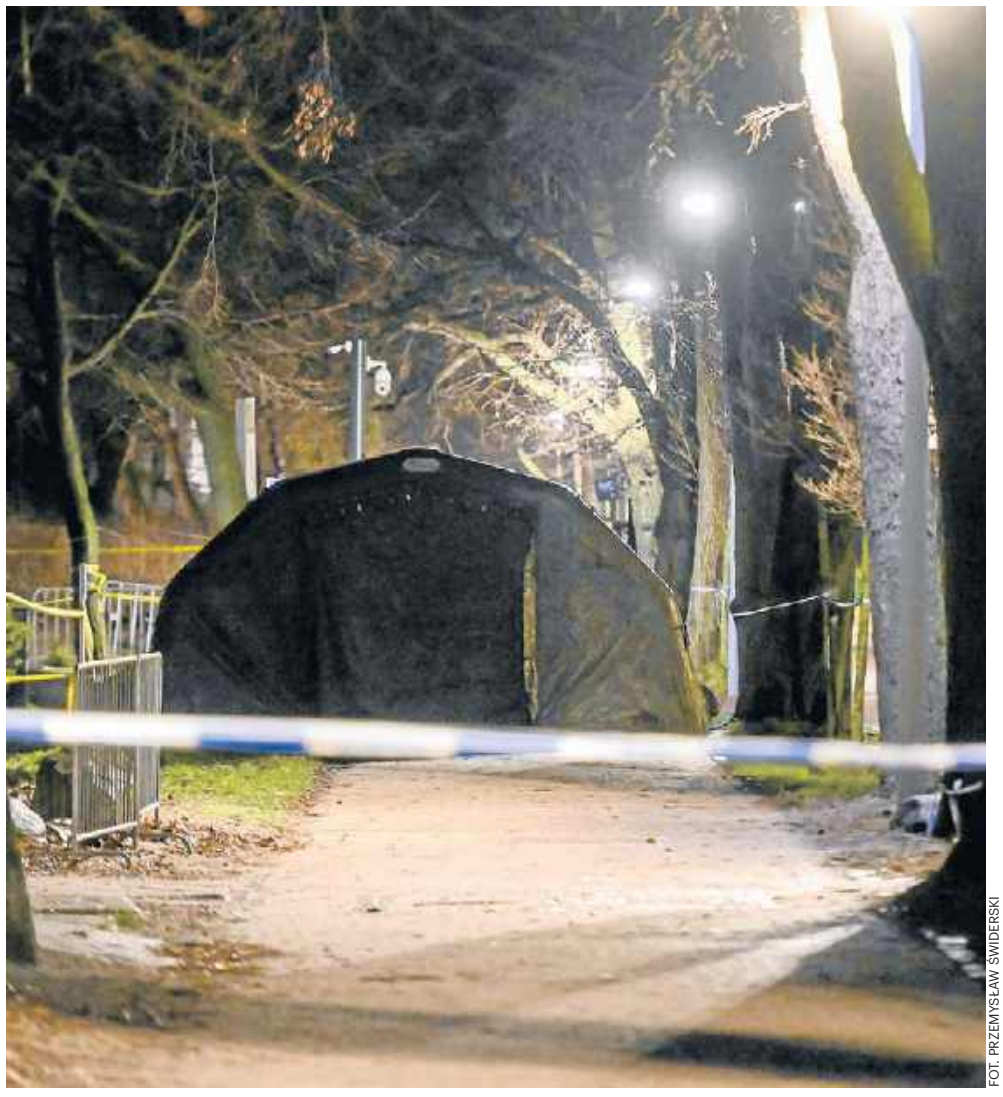

FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Paradoksalnie w Boże Narodzenie policja ma sporo pracy

Zmowa milczenia

Najbardziej znany świąteczny dramat to zbrodnia związana ze wsią Zrębin, okrzyknięta mianem zbrodni połanieckiej. Zrębin: niewielka wieś pod Połańcem leży dzisiaj w woj. świętokrzyskim. Niemal pięćdziesiąt lat temu wiodła tędy droga, wzdłuż której stało kilkadziesiąt gospodarstw, sklep, remiza, a wokół lasy i pola. W Zrębinie mieszkały trzy spokrewnione ze sobą rodziny: Sojdów, Adasiów i Kalitów. Te dwie pierwsze nie miały najlepszych relacji z tą trzecią: waśnie, konflikty doprowadziły do tragedii, potwornego mordu, o którym mówiła i pisała cała Polska.

W Wigilię 1976 roku w kościele w Połańcu odbywała się pasterka, przyszli na nią mieszkańcy okolicznych wiosek, także ci ze Zrębina. Na mszy nie zabrakło młodego małżeństwa Łukaszków - 25-letniego Stanisława i jego ciężarnej 19-letniej żony Krystyny, był też brat Krystyny - 12-letni Mieczysław Kalita. Ale ta trójka nie dotrwała do końca pasterki, w pewnym momencie do młodych podeszła cioteczna kuzynka Kalitów i przekazała, że ojciec Krystyny urządził w domu awanturę i muszą jak najszybciej wrócić do Zrębina. Stanisław, Krystyna i Mieczysław ruszyli pieszo do swojej wsi.

W tym samym czasie na drodze pojawiły się trzy pojazdy: fiat i dwa autobusy pełne rozweselonych pasażerów wracających z alkoholowej imprezy. Był wśród nich Jan Sojda z zięciami. W pewnym momencie jeden z nich, Jan, kierujący samochodem osobowym potrącił Mietka Kalitę.

Krystyna i Stanisław rzucili się mu na ratunek, a wtedy z autobusów wyskoczyli Józef Adaś i Jan Sojda. Stanisława pobili 3-kilogramowym kluczem do odkręcania kół. Kiedy skończyli, ruszyli za uciekającą Krystyną. Kobieta była w 5. miesiącu ciąży. Dopadli ją i zaczęli bić. Rozpaczliwie krzyczała: „Wujku, nie zabijaj mnie, wujku, zabrałeś mi męża i brata, zostaw chociaż mnie matce". Nie słuchali, zatłukli Krystynę na śmierć. Potem rozebrali, pozorując gwałt. Na koniec przejechali fiatem po ciele Mietka, który jeszcze żył i przeraźliwie jęczał.

Jak potem ustalono w śledztwie, pośród pasażerów byli partyjni aktywiści, sołtys, a nawet członek ORMO (Ochotnicze Rezerwy Milicji Obywatelskiej).

Niektórzy próbowali wybiec z autobusu, ale w drzwiach stanął zięć Sojdy - Stanisław Kulpiński. Groził, że jeśli ktoś ucieknie, spotka go los „Kalitowych dzieci".

Wsiedli więc do autobusów i pojechali na pasterkę. W drodze do Połańca Sojda kazał wszystkim pasażerom uklęknąć i przyrzekać, że nikomu nie powiedzą o tym, co widzieli. Każdemu dawał krzyżyk do całowania, nakłuwał palec agrafką, świadkowie mieli zostawić ślad własnej krwi na kartce papieru, swoistą pieczęć, przyrzeczenie milczenia.

W kościele pasażerowie autobusów wmieszali się w tłum. Jak gdyby nigdy nic śpiewali kolędy, cieszyli się z nadejścia Chrystusa.

No dobrze, ale wróćmy do źródeł sąsiedzkiego konfliktu. Ten trwał latami. Dziadek Krystyny miał kiedyś pomagać w zatrzymaniu Jana Sojdy, podejrzanego o dokonanie gwałtu; później Sojda został skazany na 8 miesięcy więzienia. Kilka lat po wyjściu z zakładu karnego na podwórku Jana Sojdy w dziwnych okolicznościach zginął syn dziadka Kalitów.

Broń, z której zabito kilkunastoletniego chłopca, należała do Sojdy, ale jak ustaliło milicyjne śledztwo, strzelał znajomy Jana. Podobno mężczyzna celował w psa, jednak kula trafiła w dziecko. Śmierć z wykrwawienia nastąpiła w ciągu 5 minut. Za nieumyślne spowodowanie śmierci sprawca odsiedział wyrok, po wyjściu na wolność zginął w wypadku.

Przez lata konflikt pomiędzy Kalitami oraz Sojdami narastał. Momentem przełomowym stało się wesele Krystyny i Staszka, na które zaproszono Sojdów, obie rodziny były wszak spokrewnione. Siostra Sojdy, Helena, piekła nawet ciasta na weselny stół, inni też pomagali jak mogli. Tyle tylko, że któryś z biesiadników zauważył, jak Hela Sojda wynosi weselną kiełbasę i część wypożyczonej zastawy stołowej. Na drugi dzień cała wieś mówiła tylko o tym. To był skandal, Jan Sojda nie mógł znieść takiej zniewagi. Poprzysiągł zemstę i dotrzymał słowa.

Jeszcze tej samej nocy na miejscu tragedii pojawili się funkcjonariusze MO w Staszowie. Byli przekonani, że doszło do nieszczęśliwego wypadku drogowego, ale z czasem narastały wątpliwości, które doprowadziły ich do najbogatszego gospodarza w okolicy - Jana Sojdy, zwanego też „królem Zrębina". Bo Sojda to był bogacz, miał ciągnik i telefon, nie miał ich nawet miejscowy sołtys. Był przed laty ławnikiem w sądzie, miał znajomości, dobrze trzymał z lokalną władzą.

Tyle że do śledczych docierało coraz więcej niepokojących informacji. Usłyszeli, że chłopiec wracając z pasterki wykrzykiwał pod oknami Sojdów: „Zabiliście tylu ludzi, zabiliście mojego kolegę!". Milicjanci przesłuchali 14-letniego Stasia S., który zeznał, że widział Józefa Adasia w wigilijną noc przy zwłokach ofiar. Rok później Adaś został aresztowany pod zarzutem spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym.

Inni mieszkańcy Zrębina też zaczęli wspominać wigilijną noc 1976 roku, bo dokładnie wiedzieli, co się stało na drodze do Połańca. Jan Sojda wciąż próbował kupić milczenie sąsiadów, organizował potajemne spotkania ze świadkami, przekonywał, że mają siedzieć cicho. Tym, którzy się wahali, przystawiał nóż do gardła, groził śmiercią. Część świadków zgłosiła się jednak na milicję.

W maju 1977 roku Jan Sojda został aresztowany, potem do aresztu trafili również jego zięciowie. W listopadzie 1978 roku rozpoczął się proces morderców trójki młodych ludzi.

W czasie procesu rodziny oskarżonych nadal zastraszały świadków. Skutecznie. 38 osób wezwanych przed oblicze sądu milczało bądź odwoływało wcześniejsze zeznania. Ich stałą formułą wygłaszaną przed sądem było: „Nie oświadczam się". Dopiero zarządzone przez sąd kary pieniężne i areszty skłoniły tych ludzi do zeznań. Sami oskarżeni nie przyznawali się do winy. Utrzymywali, że w noc wigilijną nie wychodzili z domów. 10 listopada 1979 roku Sąd Wojewódzki w Tarnobrzegu skazał wszystkich czterech oskarżonych na karę śmierci. Obrońcy skazanych złożyli wniosek o rewizję wyroku do Sądu Najwyższego.

W lutym 1982 roku Sąd Najwyższy uznał, że nie wszyscy skazani przez sąd I instancji byli w równym stopniu winni popełnionej zbrodni. Jerzemu

eprasa.pl fc4eac13b3

S. i Stanisławowi K. zamieniono wyroki śmierci na kary - odpowiednio 25 i 15 lat więzienia. W przypadku Jana Sojdy i Józefa Adasia wyrok został utrzymany w mocy. Wyroki śmierci wykonano poprzez powieszenie.

Ktoś bliski

Śledczy podkreślają, że zbrodnie dokonane w Boże Narodzenie, w ogóle w święta, to zbrodnie dość charakterystyczne. Stoją za nimi ogromne emocje: nienawiść, gniew, duma, zazdrość. Ofiary giną najczęściej z rąk bliskich sobie osób, lub przynajmniej znajomych, jak Krystyna, Stanisław i Mietek Kalita.

Morderstwo w Sławie Wielkopolskiej w powiecie wągrowieckim zszokowało nawet zatwardziałych śledczych. Wszystko wydarzyło się 24 grudnia 2008 roku, kiedy w wigilijną noc większość mieszkańców szła na pasterkę. 15-letnia Natalia od wielu lat znała się ze starszym od siebie o dwa lata Adamem. 17-latek mieszkał sam. Wyniósł się z domu, bo ponoć nie mógł w nim wytrzymać. Natalia zaproponowała, by spędził Wigilię razem z nią i jej bliskimi. Chłopak odmówił. Po rodzinnym spotkaniu 15-latka poszła do niego z opłatkiem. U Adama trwała imieninowa impreza. Młodzi ludzie pili na niej alkohol. Kiedy goście postanowili pójść na pasterkę, 17-latek i Natalia zostali sami.

Wtedy Adam rzucił się na Natalię. Chciał namówić ją na seks. Dziewczyna odmawiała, miała chłopaka, Adama traktowała jak dobrego kolegę. Chłopak chwycił za nóż i pięciokrotnie dźgnął nim koleżankę. 15-latka zmarła.

Bliscy nastolatki, zaniepokojeni jej długą nieobecnością, usiłowali dodzwonić się do Natalii na komórkę. Telefon nie odpowiadał. Rodzina na własną rękę rozpoczęła poszukiwania. Poszli też do mieszkania Adama. Wyważyli drzwi, Natalia leżała pokoju, wszędzie była krew.

17-latek sam zgłosił się na policję. Kilka miesięcy później, w maju 2009 roku stanął przed sądem. Na sali rozpraw zwrócił się do bliskich Natalii, przeprosił. Chłopak został skazany na maksymalną karę, 25 lat więzienia.

Trzy lata wcześniej 23-letni Szymon dowiedział się o tym, że będzie ojcem, jego partnerka była w zaawansowanej ciąży. W Wigilię Bożego Narodzenia para spacerowała nad brzegiem Warty w Poznaniu i wtedy 24-letnia wówczas Dorota, powiedziała mężczyźnie, że nie chce, by miał jakikolwiek kontakt z dzieckiem. Szymon zadał jej 20 ciosów nożem, potem wsadził zwłoki kobiety do bagażnika swojego samochodu i wywiózł w okolice Rogoźna, kilkadziesiąt kilometrów od Poznania. Ciało ukrył na działce swojej ciotki. Przesłuchiwany, wielokrotnie zmieniał zeznania, ale kiedy policjanci znaleźli w bagażniku jego auta ślady krwi, przyznał się do zabójstwa.

- Sam nie jestem w stanie odpowiedzieć, dlaczego to się stało (...) Dwójka młodych ludzi, którzy kochali się, mieli problemy finansowe, religijne, w końcu znienawidzili się - mówił, płacząc przed sądem, oskarżony.

Został skazany za podwójne zabójstwo na dożywocie.

Rok temu w Gostyninie na Mazowszu podczas kolacji wigilijnej 35-letni mężczyzna zaatakował swoją 64-letnią matkę i 63-letniego ojca. Kobieta zmarła, mężczyzna trafił do szpitala.

Tego samego roku w Wigilię Bożego Narodzenia Piotr odwiedził swojego starszego brata Pawła. Wszyscy mieszkali w Bogdance. Świętowali, pili alkohol. Może dlatego szybko doszło do kłótni. Piotr zaatakował brata, bił go po całym ciele jakimś tępym narzędziem. Tej samej nocy poszedł do domu, ale następnego dnia wrócił na miejsce zbrodni. Gdy zobaczył, co zrobił, zadzwonił na numer alarmowy. Na ratunek było już jednak za późno.

Wciąż nie przyznaje się do winy. Twierdzi, że gdy ostatni raz widział brata, ten był jeszcze żywy, ale przeczą temu dowody.

Trudny czas

W święta spotkamy się z rodziną, przyjaciółmi, bliskimi.

- To czas trudny dla wielu rodzin, bo te dni pokazują, jaka jest wewnętrzna komunikacja w rodzinie, jakie są w niej napięcia i wciąż nierozwiązane konflikty - tłumaczyła w Polskim Radiu 24 Małgorzata Czyżewska-Kleczkowska, psycholog i psychoterapeuta.

Spotykamy się przy świątecznym stole, na małej przestrzeni i często bardzo szybko okazuje się, że nie potrafimy ze sobą rozmawiać. Babcie zadają pytania o odkładany ślub, o to, kiedy wreszcie zdecydujemy się na dzieci, wujostwo pyta, jak idzie nam w pracy, a czasami idzie średnio. Odzywają się stare urazy, konflikty sprzed lat. Jak twierdzi Małgorzata Czyżewska-Kleczkowska, sytuacja jest ciężka, zwłaszcza kiedy jedziemy do domów rodzinnych na tak zwanej prowincji, a od lat żyjemy w dużych aglomeracjach. Tam zmienia się nasze spojrzenie na świat, mamy inną hierarchię potrzeb niż rodzice czy dalsza rodzina.

- Trzeba nauczyć się rozmawiać z rodzicami, potrafić im powiedzieć: „Tak wiem, że chcielibyście mieć wnuki, ale to dla mnie delikatna sprawa, a ja nie przyjechałam do was, aby o tym teraz rozmawiać podczas świąt, tylko aby cieszyć się waszą obecnością" - tłumaczy Małgorzata Czyżewska-Kleczkowska.

FOT. AKTA SPRAWY

Najbardziej znany świąteczny dramat to zbrodnia związana ze wsią Zrębin, okrzyknięta mianem zbrodni połanieckiej. Na zdjęciu wizja lokalna

Psycholog, dr Bartosz Zalewski ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, jest podobnego zdania i wymienia różne powody konfliktów, do których może dochodzić przy świątecznym stole. Pewne napięcia mogą się wiązać z etapem, w jakim jest dana rodzina, z tym, że dzieci są chociażby w okresie budowania swojej tożsamości i negowania tego, czego rodzice od nich oczekują, czy z tym, że rodzina nie jest zadowolona z wyborów podejmowanych przez dzieci.

Innym powodem konfliktów może być to, że podczas spotkań, zwłaszcza w dużym gronie, nie każdy z każdym się lubi. Atmosfera gęstnieje, jeśli przebywamy w towarzystwie osób, z którymi rzadziej się widujemy. W takich relacjach nie musimy mieć jeszcze wypracowanych sposobów wspólnego rozładowywania napięcia.

- Warto dać sobie trochę czasu - radzi psycholog. I dodaje, że można samemu pójść na spacer czy zaaranżować sobie chwilę w samotności.

Poza tym, jak zaznacza dr Zalewski, konflikty pojawiają się, kiedy puszczają hamulce po alkoholu, bo w Polsce w święta tego prawie nie brakuje.

Napięcie może wynikać też z oczekiwania, że święta mają być idealne. Jedni chcą, by cały czas było przyjemnie i miło, inni uważają, że to trudny i sztuczny czas.

- Jak człowiek jest jeden, to przeżywa w środku oba te podejścia. A jak jest więcej osób, rozkłada się to między nimi - mówi psycholog. Wyjaśnia, że podobny mechanizm może działać również w przypadku innych złożonych spraw, które zdarzają się w relacjach. Warto sobie zatem uświadomić, że to, co mówi dana osoba, jest nie tylko wyrażeniem jej własnych poglądów, ale również pewnej tendencji obecnej w rodzinie czy relacji.

Dr Zalewski opowiada też o innym mechanizmie, który może prowadzić do konfliktów.

- Bywa tak, że jakaś część rodziny jest stawiana w roli tych, którzy sprawiają kłopoty, dzięki czemu cała reszta rodziny może czuć, że osiąga sukcesy. W czasie świąt taki mechanizm może się nasilać - mówi. Wyjaśnia, że spokój w rodzinie bywa przywracany przez koncentrowanie się na tych słabszych osobach, omawianie ich problemów, krytykowanie ich lub radzenie im.

- Tak też jest trochę na poziomie społecznym: nierzadko potrzebna jest jakaś grupa, która będzie tą trudną, tą gorszą. Przez to pozostała część społeczeństwa czuje się dobra, odpowiednia - dodaje psycholog.

Osoby, które stosują tę strategię, nie zawsze są jej świadome.

- Warto się zastanowić, czy na pewno jest tak, że w rodzinie dane osoby zawsze sobie radzą, a inne zawsze sobie nie radzą - mówi dr Zalewski. Przyznaje, że dla osób, które są stawiane w roli tych „gorszych", taka sytuacja jest trudna. A wcale nie jest łatwo przekonać rodzinę, że nie jest się tym gorszym. Wtedy można poszukać wsparcia w tych członkach rodziny, którzy negocjują, starają się rozumieć różne strony.

- Chyba że chcemy konfrontacji. Wtedy wiadomo, do kogo się zwrócić, do tego, który u szczytu stołu rozdziela role rodzinne - mówi psycholog. - Większość rodzin ma sposoby rozwiązywania sytuacji konfliktowych. W okresie świątecznym siłą jest to, że jest więcej osób i zwykle ktoś podejmuje się łagodzenia konfliktów - dodaje.

Pewnie, że tak. W końcu trudne momenty w czasie świąt zdarzają się w wielu rodzinach i nie dochodzi w nich do zbrodni. Ale, jak podkreślają psychologowie, to czas, który - paradoksalnie - uwypukla także to, co nas dzieli.

KONFLIKTY POJAWIAJĄ SIĘ, KIEDY PUSZCZAJĄ HAMULCE PO ALKOHOLU, BO W POLSCE NAWET W ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA TEGO PRAWIE NIE BRAKUJE

Śmierć na oczach dzieci

Nie tylko w Polsce 24 grudnia dochodzi do brutalnych morderstw.

W 2017 roku 45-letni internetowy celebryta Anthony Milan Ross zabił w Phoenix w Boże Narodzenie swoją 38-letnią żonę Iris, z którą był w separacji, i dwójkę swoich dzieci: 11-letniego Nigela oraz 10-miesięczną Anorę.

Do tragedii doszło półtorej godziny po tym, jak Ross udostępnił w mediach społecznościowych nagranie, na którym wraz z synem Nigelem śpiewa kolędę.

Szwagierka oskarżonego, Mary Wogas, w bożonarodzeniowe popołudnie otrzymała od Rossa dwie wiadomości.

- Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak - relacjonowała kobieta.

„Zabiłem Iris i dzieci" - brzmiał pierwszy SMS. W drugim Ross miał wyznać, że zrobił to z użyciem broni palnej.

- Wiedziałam, że był niestabilny i miał mroczną stronę, ale nie sądziłam, że aż tak - skomentowała Wogas.

Sąsiedzi, świadkowie zdarzenia, zobaczyli, jak Ross strzela do żony, kiedy ta próbowała uciec z domu. Mieli wtedy zapytać mężczyznę, czy z jego żoną wszystko w porządku, na co ten wycelował do nich i powiedział: „Nie". Potem odwrócił się i wszedł mieszkania, w którym były dzieci.

Mężczyzna uchodził za internetowego celebrytę. Popularność zdobył dzięki metamorfozie, którą przeszedł będąc na wegańskiej diecie. Ross dzielił się w mediach społecznościowych zdjęciami, które pokazywały, jak zrzucił około stu kilogramów wagi. Zdrowy styl życia łączył z karierą mówcy motywacyjnego.

Ross usłyszał zarzut potrójnego morderstwa pierwszego stopnia, napaści na policjantów i użycia broni palnej.

Dwa lata później w Wigilię Bożego Narodzenia w mieście Lakeland na Florydzie, podczas kolacji wigilijnej sąsiedzi małżeństwa z czwórką dzieci usłyszeli strzały i wezwali policję. Kiedy mundurowi dotarli na miejsce, we wskazanym mieszkaniu znaleźli ciała trojga dorosłych. W domu było również czworo dzieci, wszystkie miały mniej niż 10 lat. Żyły.

- Wszystkie dzieci były tam, kiedy to się stało. Widziały wszystko. Widziały, jak ich matka i ojciec umierają. Ta mała dziewczynka mówiła: „Weszłam w krew mojego tatusia" - relacjonował potem jeden z sąsiadów, Sun Malkowski.

Zabójcą był 30-letni Leighton Josephs. Zastrzelił 30-letnią kobietę i 27-letniego mężczyznę, po czym popełnił samobójstwo. Był znajomym ofiar.

Zbrodnie zdarzają się każdego dnia, dochodzi do nich w szkołach, w domach, na ulicach miast. Zabójcy często nie znają swoich ofiar. Ale święta to czas, kiedy najbardziej niebezpieczni są dla nas ci, których dobrze znamy.

Współpraca: Justyna Piasecka-Gabryel, PAP

eprasa.pl fc4eac13b3

Głos Dziennik Pomorza
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

PIOTR GŁOWACKI: Z KAŻDYM FILMEM DOSTAJĘ SZANSĘ CIESZYĆ SIĘ ŻYCIEM KOGOŚ INNEGO

„Piernikowe serce" to mozaikowa komedia romantyczna w świątecznej tonacji, oparta na powieści Agnieszki Lis pochodzącej z Koszalina. Jedną z głównych ról w wyświetlanym właśnie w kinach filmie gra Piotr Głowacki. W naszym wywiadzie popularny aktor podsumowuje wypadające w tym roku 25-lecie swojej kariery

Paweł Gzyl

Reżyser Piotr Wereśniak powiedział o „Piernikowym sercu": „Są filmy, które trzeba opowiadać »między słowami«, bo wymagają od aktorów uwagi, precyzji i wrażliwości". Takie było „Piernikowe serce" dla Pana?
Trudno się nie zgadzać z reżyserem. (śmiech) A tak na serio: na pewno taka jest praca z Piotrem. On właśnie pracuje na planie atmosferą i rozmową. Nie jest reżyserem ingerującym w proces budowania postaci przez aktora. Nasze spotkania są zawsze o tym, jak opowiedzieć o człowieku z jakimś rodzajem współodczuwania i w atmosferze humoru. A ja, im jestem starszy, tym bardziej czuję, że to, co najlepszego możemy dać ludziom, to uśmiech.

Pana bohater Paweł z filmu „Piernikowe serce" to „człowiek zagadka". Trudno zagrać taką enigmatyczną postać?
Zagranie Pawła sprawiło mi dużo radości, również tej zawodowej. A to właśnie dlatego, że miał swoje zagadki. Jedną jest ta, która znajduje rozwiązanie w finale, a druga to jego związek z żoną Samantą. Bardzo mi się podobała ich relacja łącząca pozornie od siebie różne światy, to, jak Paweł jest oddany swojej żonie.

No właśnie: przeciwieństwem Pawła jest jego żona Samanta: ekspresyjna instagramerka. Musiał Pan więc grać w kontraście do Barbary Kurdej-Szatan. Jak się Wam pracowało?
U mnie to zawsze dzieje się według zasady: „Ja mam swoją lalkę, ty masz swoją lalkę i razem gramy w jedną grę". Tak było i tutaj, dlatego pracowało mi się bardzo przyjemnie nie tylko z moją filmową żoną, ale również z naszą córką i psem. (śmiech) To był bardzo fajny team, który razem zgodnie zagrał.

Film łączy dramatyczne i komediowe sceny. Odpowiadała Panu taka niejednoznaczna konwencja?
To bardzo życiowa konwencja. Widzowie ją zatem dobrze znają, gramy więc w nią razem z nimi. Film „Piernikowe serce" opowiada o świętach i będzie oglądany w okresie świąt. Mówimy w nim o naszych marzeniach i o naszej codzienności, jak święta są dla nas męczące i pełne trudnych wyborów, a jednocześnie, że są marzeniem o chwili wspólnego spokoju. Myślę więc, że tutaj ta konwencja zgrywa się z życiem.

Tego rodzaju świąteczne filmy mają dosyć przewidywalną konstrukcję. Nie przeszkadzało to Panu?
Przecież lubimy piosenki, które już kiedyś słyszeliśmy. (śmiech) Większość historii opowiadanych przez popkulturę jest nam już dobrze znana, całe dzieje kina oparte są przecież na tym samym micie. To historia bohatera, który wędruje, znajduje to, czego szukał, potem okazuje się, że nie jest to tym, czego naprawdę pragnął, upada, podnosi się i znajduje eliksir. To nam daje nadzieję, że i my możemy tak samo zrobić ze swoim życiem. Tu też tak jest.

To prawda. „Piernikowe serce" to opowieść o sile rodziny, która potrafi pokonać różne przeciwności i zasiąść razem do wigilijnego stołu. Zgadza się Pan z takim przesłaniem?
To przesłanie jest zgodne z moim rozumieniem funkcji teatru i kina. Przecież tak naprawdę ludzie żyją dzięki spotkaniu. A nasza sztuka jest zawsze o tym: że możemy w jednym miejscu i czasie wszyscy wspólnie robić jedną rzecz.

Co sprawia, że akurat przed Bożym Narodzeniem miękną nam serca?
Zegar. Kalendarz. To moment, w którym uwspólniamy się przez rytuał. Chcąc nie chcąc, przychodzi taka data, której kulturowo przyznajemy magiczną moc.

Pan zasiada najczęściej do Wigilii w rodzinnym gronie w domu czy wyjeżdża do ciepłych krajów?
To jest kwestia tego, jak się postrzega rodzinę na różnych etapach życia. Ja dosyć późno wziąłem ślub i doczekałem się dzieci. Dlatego ta definicja rodziny zmieniała się u mnie. Te święta mają w swój obrządek wpisane spotkania rodzinne, ale mówią nam one również, że tak naprawdę wszyscy jesteśmy jedną rodziną. Bardzo do mnie przemawia słowiańskość tej tradycji świątecznej. Szczególnie ta Wigilia, która jest iście polska. Bo największym świętem jest dla nas nie pierwszy dzień Bożego Narodzenia, tylko dzień, a właściwie noc, przed. Tak robili tysiące lat temu Słowianie, spotykając się w najdłuższą noc w roku w lęku, że ciemność będzie już na zawsze, oczekując jednak nadejścia słońca. I to, że następnego dnia tego słońca jest już odrobinę więcej, że światło zwycięża mrok – to nas wszystkich łączy. To pokonanie ciemności.

Jakie były święta Pana dzieciństwa?
Do dziesiątego roku życia spędzałem święta na kujawskiej wsi Redecz Wielki, a potem do dwudziestego któregoś w Toruniu. Dziś dzieci każdej zimy zazdroszczą mi i pytają: „Tata, a ile było śniegu, jak byłeś mały?". Wtedy opowiadam, że kiedy miałem sześć lat w 1986 roku, to była taka zima, że aby dojść z domu do szkoły, musieliśmy kopać korytarze w śniegu, a jak się szło, to głowa mi nie wystawała poza zaspy. Dlatego dziś często wyjeżdżamy na święta właśnie w poszukiwaniu tego śniegu.

„Piernikowe serce" było kręcone w Toruniu. Jak się Pan czuł, wracając do miejsca swojej młodości?
Kiedy przystępuję do zagrania jakiejś postaci w filmie, to zazwyczaj najważniejszy jest dla mnie zawód, jaki ona wykonuje. Muszę więc zdobyć pewne umiejętności, które potem w kinie będą weryfikowały osoby, które ten zawód naprawdę reprezentują. To dla mnie podstawa, obojętnie czy gram lekarza, czy detektywa. Zawsze dużą część mojej uwagi poświęcam profesji swojej postaci. Bo wiem, że jeśli lekarz zaakceptuje moją „lekarskość" na ekranie, to będę miał dostęp do czegoś, co nazywamy wiarygodnością. A w wypadku „Piernikowego serca" w miejsce zawodu weszło miejsce zamieszkania. Najważniejsze było więc dla mnie to, że gram faceta z Torunia, który mieszka w Toruniu. Budując tę postać, chciałem tak zbudować postać Pawła, żeby ludzie mieszkający w Toruniu zaakceptowali swój wizerunek. To było bardzo zbliżające do tej postaci. Kiedy pojawiliśmy się niedawno na premierze w Toruniu, na widowni była moja rodzina, byli znajomi. Po seansie podchodzili i mówili, że wyszło całkiem fajnie. Miałem wtedy poczucie, że moje zadanie zostało spełnione.

To chyba w Toruniu zaczęła się Pana przygoda z aktorstwem, bo to właśnie tam za młodu zaczął Pan występować w teatrze amatorskim. Gdzie Pan złapał tego bakcyla?
Odkąd pamiętam, interesowało mnie aktorstwo, dlatego nie wiem, gdzie był ten początek. Już w głębokim dzieciństwie mówiłem wierszyki, lubiłem występować na szkolnych akademiach. Moja mama była nauczycielką, więc animowała te wszystkie działalności. Po przeprowadzce do Torunia w 1989 roku, kiedy wszystko w Polsce się zmieniało, zacząłem realizować swoje marzenie, podglądane w telewizorze, który był wówczas moim jedynym oknem na świat. Jadąc ze wsi do miasta, myślałem, że wstąpię do Gawędy, że wejdę do świata, który znałem tylko z małego ekranu. Takimi miejscami, które mnie włączyły w świat teatru, był zespół Baby Jagi prowadzony przez Jolę Michalak, i Spięty Teatr Spinaczy, prowadzony przez Grażynę Podlaszewską. Dzięki tym instytucjom, które działały w latach 90., kiedy to o wszystkim zaczynał decydować pieniądz, Toruń dał mi szansę spełnienia moich dziecięcych marzeń. I za to jestem wdzięczny temu miastu jako wspólnocie, która pozwalała w tamtych trudnych czasach dzieciom i młodzieży rozwijać się artystycznie.

Potem wyfrunął Pan w świat: zaczynał studia w Olsztynie, później uczył się w Warszawie, a skończył w Krakowie. Skąd ta wędrówka po uczelniach?
Długo by opowiadać. (śmiech) Lubię to zrzucać na karb niespokojnego ducha, ciekawości, chęci poznawania świata. Dzięki temu spotkałem po drodze wielu fantastycznych ludzi.

No właśnie: nauka aktorstwa to spotkania z autorytetami. Kto wywarł największy wpływ na Pana drodze do aktorstwa?
Jako dziecko nauczycielskie, wychowane w szkole, szczęśliwie zawsze lubiłem się uczyć i byłem otwarty na naukę. Mam to zresztą w sobie do tej pory. Dlatego potrafiłem z każdego spotkania wyciągnąć coś, co budowało moją drogę do aktorstwa. Właściwie każda osoba, która poświęcała mi czas, była wtedy choć przez chwilę moim mistrzem. Oczywiście są ludzie, z którymi miałem głębsze i dłuższe relacje. W Olsztynie taką postacią, która jest ze mną do tej pory i nad jej rozmyślaniami nad aktorstwem sam nadal często się zastanawiam, był Stefan Burczyk. W Warszawie trafiłem na rok Jana Englerta, nie mogę więc pominąć jego wpływu. Ale ważna była też Ola Konieczna, która przez wiele lat fascynowała mnie swoim podejściem do aktorstwa. W Krakowie z kolei Krzysiek Globisz, Jacek Romanowski i Jurek Trela.

Po studiach grał Pan w dwóch najlepszych wtedy teatrach w Polsce: Teatrze Rozmaitości w Warszawie i Teatrze Starym w Krakowie. Ten zespołowy charakter pracy w teatrze był dla Pana ważny?
Tak. Życie w teatrze mnie fascynowało – ta wspólna podróż przez świat i opowiadanie jego historii. To było oczywiście bardzo romantyczne podejście. Największy wpływ wywarł na mnie wtedy René Pollesch, u którego grałem w Teatrze Rozmaitości. Kiedy jednak zacząłem czuć, że coś znika we mnie z tego zachwytu nad tą zespołową pracą, przeszedłem do filmu. Tam spotkałem kolejne osoby, które nauczyły mnie znów czegoś innego. Postanowiłem więc w to zainwestować, czując, że praca w filmie wymaga ode mnie na nowo nauczenia się zawodu.

Świat filmu okazał się zupełnie inny niż świat teatru?
Były pewne podobieństwa. W świecie filmu zawiązujemy trupę teatralną na okres zdjęciowy. Te relacje są więc trochę inne: intensywniejsze, szybsze, nie ma tam, przynajmniej na początku tej drogi, tego grania długą piłką, co w teatrze. Przy czym człowiek bardzo szybko orientuje się, że w Polsce ta filmowa trupa jest dosyć ograniczona ilościowo. A ja miałem takie założenie, że chcąc nauczyć się filmowego aktorstwa, muszę grać jak najwięcej, więc przyjmowałem wszystko, co do mnie przychodziło i na co pozwalał mi czas. Kiedy ostatnio robiłem sobie podsumowanie tych 25 lat wykonywania zawodu, okazało się, że byłem na 150 planach filmowych.

Zagrał Pan sporo ról drugoplanowych przez wiele lat. Nie czuł się Pan niedoceniany?

eprasa.pl fc4eac13b3

FOT. MAT. PRAS./AGNIESZKA ZEGER

Piotr Głowacki: Film „Piernikowe serce" opowiada o świętach i będzie oglądany w okresie świąt. Mówimy w nim o naszych marzeniach i o naszej codzienności, jak święta są dla nas męczące i pełne trudnych wyborów, a jednocześnie, że są marzeniem o chwili wspólnego spokoju

Jedyne docenienie siebie w pracy możemy dać sobie wyłącznie my sami. Jeśli sami z siebie nie jesteśmy zadowoleni, to nikt nam tego zadowolenia nie da. Wszystkie role, które zagrałem, składają się na moją wspólną drogę zawodową, która odzwierciedla się w otaczającej mnie sympatii widzów. Stąd wiem, że dla każdego inna moja rola jest ważna. Często spotykam się z tym, że ktoś pamięta jakiś drobiazg, który zrobił na nim wrażenie i który mu mnie przypomina. Gdybym traktował te drobiazgi jako niewarte mojej uwagi, to pewnie nie wracałyby do mnie w opowieściach tych, którzy mnie oglądali.

Przełomem w Pana karierze byli chyba „Bogowie". Wielu widzów zobaczyło wtedy po raz pierwszy, że jest taki znakomity aktor, jak Piotr Głowacki. To dla Pana też był wyjątkowy występ?
To był wyjątkowy film sam w sobie. Jako zjawisko. Wprowadził bowiem nowy na naszym rynku sposób opowieści o bohaterze, który jest powszechnie znany i robi coś ważnego i dobrego. Cała sympatia, jaką zdobył ten film u widzów, spływała na wszystkich, którzy wzięli w nim udział. Ten film był zauważony, był opowiadany, miał olbrzymią widownię, zyskał akceptację środowiska. W tym sensie był też ważny na mojej drodze, uwidaczniając moją pracę i osobę.

Na główną rolę czekał Pan jednak aż do „Mistrza". Zagranie legendarnego pięściarza z Auschwitz pozwoliło Panu w pełni objawić talent i umiejętności?
To była niezwykła przygoda filmowa. Choć opowiadaliśmy o strasznych rzeczach, dla mnie jako aktora była to ogromna radość. Bo robiliśmy to, aby być razem i z tego faktu czerpać nadzieję. Ta rola dała mi możliwości, które zdarzają się bardzo rzadko. Czternastomiesięczny okres przygotowawczy z pełnym wsparciem producenta, reżysera i ekipy, która trenowała mnie fizycznie, dzięki czemu mogłem spełnić swoje aktorskie marzenie. Jeśli tę szansę dostałby ktoś inny, to też by ją wykorzystał, i oglądalibyśmy na ekranie fantastyczną rolę kogoś innego.

Dziś gra Pan komediowe i dramatyczne role w filmach i serialach. Dobry aktor powinien być wszechstronny?
Ja zawsze tak widziałem ten zawód. On pozwala mi dotykać tak różnych rejonów i spotykać się z tak różnymi ludźmi, jak chyba żaden inny. To tak jakbym siedział z kimś przy ognisku i opowiadał mu coraz to inną historię. W jakiej formie to opowiemy – w widowiskowej pod postacią filmu historycznego czy w bardziej intymnej filmu artystycznego – to tylko opakowanie dla tej treści. Ta różnorodność jest też nie tylko w kinowych konwencjach, ale też w granych postaciach, z każdym filmem dostaję bowiem szansę cieszyć się życiem kogoś innego.

Ostatnio często można oglądać Pana w produkcjach dla dzieci. Co jest w tym dla Pana pociągającego?
Wierzę, że robiąc coś dla dzieci, mogę spotykać się z najfantastyczniejszą widownią na świecie. Za kilka czy kilkanaście lat będą to przecież dorośli ludzie i ta moja opowieść może się okazać dla nich jakąś wartościową wskazówką, jak żyć.

Wrócił Pan też do teatru. Co Pana do tego skłoniło?
Tym razem to nie teatr instytucjonalny, tylko taki, który jeździ po Polsce. I okazuje się, że mamy za każdym razem pełną widownię. Czyli Polska jest głodna teatru. Wierzę, że przywożę do tych różnych miejsc coś wartościowego – spektakl, który jest wart obejrzenia. Wspomniany René Pollesch otworzył mnie na sprawczość teatralną. Że możemy się w teatrze zajmować życiem, i to życie jest najbardziej interesujące.

Zgromadził Pan ogromne doświadczenie przez te 25 lat kariery. Pomaga ono Panu w pracy wykładowcy warszawskiej Akademii Teatralnej?
Wierzę, że tak. Praca dydaktyczna jest bowiem również czymś, co było prawie od początku mojego życia. Obserwując moją mamę jako nauczycielkę, środowisko szkolne i studenckie, zawsze mnie fascynowała myśl, że ludzkość może się rozwijać jako gatunek dzięki przekazywaniu wiedzy. Dziś jest dla mnie coś przejmującego w świadomości, że mogę swoim studentom przekazywać wiedzę, którą ja sam dostałem od osób, które już nie żyją. To choćby wspomniani wcześniej Stefan Burczyk czy Jerzy Trela. Dzięki temu, że ich spotkałem i dostałem coś od nich, mogę to przekazać dalej – mam nadzieję, wzbogacając to jeszcze o moje własne doświadczenie.

Ostatnio największą Pana pasją jest Fundacja Dajesz! Jurajska Republika Wspinaczkowa.
Zaczęło się od filmu „Broad Peak", w którym zagrałem alpinistę. W ramach przygotowań do roli Alka Lwowa przez wiele miesięcy szkoliłem się w Beskidach, na Jurze, w Tatrach i w Dolomitach. Równolegle trenowałem też wspinanie na sztucznej ścianie w Warszawie. Przyjemność, jaką daje mi ten rodzaj aktywności sportowej, sprawiła, że wspinanie stało się ważną częścią mojego życia – pasją, którą podziela ze mną żona Agnieszka oraz nasze dzieci. To stało się dla mnie impulsem do założenia fundacji, która ma na celu popularyzację wspinania w Polsce jako aktywności rekreacyjnej i sportowej dostępnej dla każdego. Fundacja daje mi poczucie bycia autentycznie potrzebnym, dzieląc się tym, czego dowiaduję się od innych ludzi i co sam praktykuję w swoim rodzicielstwie.

Wspinaczka łączy ludzi?
Tak. Bo to ruch, nie sport. Ruch zniknął z życia dzieci, kiedy został zastąpiony przez tablety i siedzenie przed nimi. Kiedyś my jako dzieci wspinaliśmy się za plecami naszych rodziców. Teraz tego nie ma, w efekcie czego budujemy pokolenie płaskoziemców.

Czym obecnie zajmuje się Pana fundacja?
Najistotniejszym miejscem dla naszej fundacji jest teraz Jura Krakowsko-Częstochowska. To raj, do którego regularnie przyjeżdżam z dziećmi i realizuję swój projekt – Jurajskie Spotkania Wspinaczkowe. Łączą one ruch i sztukę, przynosząc wiele radości dzieciom i rodzicom. Ostatnio koncentruję się na projekcie budowy toalet w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej dla tych, którzy się tam wspinają – „Czysta jak Jura". Bo przecież kiedy chcemy się wspinać, wybieramy jakąś skałę i spędzamy przy niej cały dzień. A ludzie robią kupy i fantastycznie byłoby w tych miejscach mieć nowoczesne i ekologiczne jurajskie łazienki. W grudniu zostanie rozwiązany konkurs architektoniczny na ich projekt i wierzę, że w porozumieniu z samorządami uda się go wprowadzić w życie, by móc wspinać się, a kiedy przyjdzie potrzeba, chodzić w spokoju tam, gdzie nawet król chodzi piechotą. (śmiech)

W zeszłym roku miał Pan okazję posmakować, jak to jest być celebrytą, za sprawą udziału wraz z żoną w programie „Azja Express". Jakie to było doświadczenie?
Takie jak każde inne z rejonu mojej sztuki, czyli niezwykłe. To był projekt, który wyciągnął nas na drugą półkulę ziemską, gdzie musieliśmy biec przez nieznany nam kraj. Do tego nieustannie czekały tam na nas kolejne niespodzianki przygotowane przez organizatorów i poznawaliśmy coraz to nowych ludzi. To było więc bardzo ekscytujące doświadczenie.

Państwa udział spotkał się z żywymi reakcjami w internecie. Spodziewał się Pan tego?
Tak. Trochę już jestem w tym show-biznesie i wiem, jak to wygląda. Internet żywi się jedną stroną takich przedsięwzięć, a rzeczywistość inną. Tyle samo było szumu medialnego wokół naszej pary, ile teraz dostajemy w realu ciepłych słów od ludzi podczas prywatnych spotkań. Ludzie opowiadają, jak śledzili nasze losy i dopingowali nas, jak byli z nami i dziękują nam za coś, co wydawało im się niezwykłe, czyli za naturalność i prawdziwość. Czyli za coś, co dziś przestało im się już kojarzyć z telewizją.

Pana żona powiedziała, że to był Wasz spóźniony miesiąc miodowy. Naprawdę tak było?
Tak, wcześniej nie mieliśmy miesiąca miodowego. To był pierwszy raz, od kiedy siedem lat temu nasze bliźniaki pojawiły się na świecie, gdy byliśmy ze sobą tylko we dwoje przez tak długi okres. Dlatego choć był to bardzo intensywny czas, to jednak bardzo miły. A potem stęsknieni wróciliśmy do naszych dzieci.

Pana bliźniaki mają obecnie po osiem lat. Garną się już na scenę szkolnego teatrzyku?
Ida i Aaron najchętniej teraz się wspinają i w ogóle nie chodziliby do szkoły. Ale już pojawia się u nich zainteresowanie słowem. Ida wystąpiła niedawno w konkursie recytatorskim. Sama się zgłosiła i zabroniła mi w ogóle interesować się tą sprawą, nawet nie miałem jej więc okazji posłuchać w domu. Takie zainteresowania są u nich jak najbardziej naturalne – dzieci wszak mają najbliższy dostęp do tych zawodów, które uprawiają ich rodzice. Na pewno jest w tym też po prostu chęć bycia z rodzicem. Bo kiedy idę do pracy na plan filmowy lub do teatru, to wtedy nie ma mnie z dziećmi. Dlatego aktorstwo jest dla nich czymś, co im mnie zabiera. A dla dzieci najważniejsza jest uwaga, bliskość i czas, jaki spędzają z nimi dorośli. Dlatego próbuję im te swoje nieobecności rekompensować aktywnością wspinaczkową, wspólnymi wakacjami, wypadami na łono natury, chodzeniem po górach. Bo w tej naszej codzienności jak na razie teatr i kino kojarzą im się przede wszystkim z tym, że taty nie ma w domu. Zobaczymy, co będzie dalej.

eprasa.pl fc4eac13b3

Głos Dziennik Pomorza
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

HISTORIA O MAŁYM CHŁOPCU, KTÓRY MARZY, BY UROSNĄĆ

Każdego ranka 10-letni Jurek z Limanowej toczy walkę z bólem. Choruje na dysplazję przynasadową Schmida – schorzenie tak rzadkie, że wielu lekarzy zna je tylko z podręczników. Rodzina mieszka na co dzień w Hiszpanii. By uzbierać na operację synka, mama Karolina napisała książkę, e-book: ,,Walencja moimi oczami". Historia Jurka to opowieść nie tylko o cierpieniu i nadziei, która kosztuje pół miliona złotych, ale i o wdzięczności

Krystyna Trzupek

W Limanowej, rodzinnej miejscowości Karoliny, słońce nieśmiało topi resztki śniegu, z którego korzystają dzieci ciągnące za sobą sanki. W Walencji, we wschodniej Hiszpanii, najbardziej przytulnym mieście Półwyspu Iberyjskiego, pełne słońce. Godzina 13. Pogoda wymarzona na poobiedni spacer. - Kocham to słońce - uśmiecha się Karolina. - Potrafi rozgonić nawet najczarniejsze myśli - dodaje. A czarne chmury w postaci bezsilności i lęku zacieniają nieboskłon. W oddali widać sylwetkę małego chłopca - Jurka. To o nim jest ta historia.

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Pragnienie Jurka, by „choć trochę urosnąć", jest silniejsze niż strach przed kolejną operacją i bólem

Bezsilność

Jurek przyszedł na świat 23 września 2015 roku - zdrowy, wyczekany, otoczony miłością. Nic nie zapowiadało dramatu. Pierwszym sygnałem było to, że chłopiec nie chodził. Nóżki uginały się pod nim jak zapałki, każdy krok kończył się upadkiem. Podejrzewano krzywicę, wykonano badania - bezskutecznie. Mijały kolejne miesiące, a Jurek coraz bardziej cierpiał. - Najgorsze było to, że nikt nie potrafił nam powiedzieć, na co choruje nasze dziecko - wspomina mama, Karolina Carrera. Problem narastał, ale żaden z lekarzy nie był w stanie postawić diagnozy.

Przełom nastąpił, gdy Jurek skończył 18 miesięcy. Lekarz, u którego rodzice konsultowali synka, wypowiedział nazwę choroby brzmiącą jak tajemniczy kod: dysplazja przynasadowa Schmida. Niestety, nie potrafił powiedzieć nic więcej. - Muszę poczytać, skonsultować z kolegami traumatologami, którzy mają większe doświadczenie. Ta choroba jest tak rzadka, że nie wiem, jakie są rokowania, nie wiem, czy syn będzie chodził - stwierdził lekarz.

Rodzice zostali sami. Z diagnozą, której nikt nie zna. Z przyszłością, której nikt nie potrafił opisać. Zaczęli szukać podobnych przypadków. Okazało się, że w Limanowej jest chłopiec, który choruje na tę samą chorobę. Skontaktowali się z rodzicami chłopca. Tak trafili do dr. Paleya, który dał nadzieję. Nadzieja jednak miała swoją cenę. I zero refundacji - ani w Polsce, ani w Hiszpanii.

,,Mam okropne nogi"

Do tej pory Jurek przeszedł osiem operacji. Rodzice robili zbiórki, resztę dopłacali sami. Brali kredyty, zadłużali się, pomagali ich bliscy. Dziewiąta operacja, planowana na czerwiec, będzie jedną z najtrudniejszych. - W kości synka zostaną wprowadzone metalowe pręty, które każdego dnia trzeba będzie regulować specjalnym aparatem, by stopniowo wydłużać nogi. To nie jest zabieg „na raz". To proces: bolesny, powolny, wymagający determinacji większej niż ta, którą posiada większość dorosłych. Ale Jurek jest oswojony z bólem - podkreśla mama.

- Jego ciało zachowuje się jak ciało osiemdziesięciolatka. Rano potrzebuje dobrej pół godziny, żeby rozruszać stawy. Bardzo go bolą, bo nie wytwarza kolagenu. Jurek ma 10 lat, a mierzy zaledwie metr siedemnaście. Jego rówieśnicy są od niego wyżsi o dwie głowy. Cały czas pracujemy nad jego pewnością siebie, to boli go nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. W tym wieku dzieci zaczynają się porównywać - wyjaśnia Karolina Carrera.

Pragnienie Jurka, by „choć trochę urosnąć", jest silniejsze niż strach przed kolejną operacją i bólem. W chwilach słabości i buntu mówi: „Mamo, jestem jedynym dzieckiem, które ma takie okropne nogi". A w chwilach siły: „Wiesz co, mama? Życie jest naprawdę piękne".

Wdzięczność

Mimo choroby Jurek jest pogodny, wrażliwy, empatyczny. Ma marzenia - bardzo konkretne. Kocha futbol. Zna historię Messiego na pamięć: niskiego chłopca, który dzięki leczeniu w Barcelonie i własnej determinacji podbił piłkarski świat. - Chyba dlatego tak go lubi - uśmiecha się mama.

Jurek chodzi na treningi. Po zajęciach schodzi z boiska niemal na czworakach - z bólu. A mimo to wraca. Bo kocha grać. Drugą pasją chłopca jest Japonia. Manga, karate, kultura. Chłonie wszystko z dziecięcą ciekawością, ale ma też w sobie dużą dojrzałość.

- Raz przeczytał w komiksie, jak mentor mówi bohaterowi: „Wszystko, czego szukasz, masz w sobie". Jurek długo myślał nad tym przesłaniem, w końcu powiedział: „Może ja też mam wszystko w sobie. Może nie muszę szukać na zewnątrz".

Jurek ma młodszą siostrę, Zosię - wulkan energii. Rodzeństwo jest ze sobą bardzo związane. Kiedy Zosia patrzy na wysiłek brata, mówi: „Mamo, jakie on ma biedne nóżki, jaki on biedny, a jak sobie radzi!".

- Czasem przychodzą do głowy ciemne myśli: jak Jurek sobie kiedyś poradzi? Jak będzie prowadził samochód z takim wzrostem, jak założy rodzinę. Ale szybko je przeganiam. Ksiądz Jan Kaczkowski kiedyś powiedział: „Nie martw się przez cały dzień. Wyznacz sobie na to godzinę, a potem ciesz się życiem" - uśmiecha się Karolina. Po chwili dodaje: Wierzę, że ta choroba jest dla nas pewnym błogosławieństwem. Jurek pokazuje nam codziennie, czym jest wytrwałość, konsekwencja i niepoddawanie się, nawet gdy coś idzie nie tak. Wierzę, że wszystko dzieje się po coś. Zawsze staram się widzieć pozytywną stronę. Gdybyśmy skupiali się tylko na negatywach, można by zwariować. Wbrew tej sytuacji, ja jestem pełna wdzięczności - za wszystko, nawet za drobne rzeczy, jak dzisiejszy spacer w słońcu. Bo w życiu nie chodzi o wielkie sprawy, lecz o te małe momenty szczęścia. Liczą się relacje, bliskość. Choroba nauczyła nas widzieć te drobne rzeczy.

I dała impuls do czegoś jeszcze: do napisania książki.

„Walencja moimi oczami"

Karolina nigdy nie planowała być pisarką. Pomysł zrodził się z wdzięczności dla tych, którzy zechcą wspomóc leczenie synka. - Chciałam im coś dać od siebie - dodaje. Żeby zapłacić za operację Jurka, trzeba sprzedać 11 tysięcy egzemplarzy e-booka. Tyle potrzeba, by chłopiec mógł dostać szansę na życie z mniejszym bólem. Koszt to tylko 49 złotych.

E-book „Walencja moimi oczami" to nie jest dramatyczny pamiętnik matki chorego dziecka. To ciepła, szczera, często zabawna opowieść o życiu w Hiszpanii z perspektywy Polki. W książce znajdziemy m.in. obserwacje z hiszpańskiej codzienności, ciekawostki, jak ta, że Hiszpanie nie mają czajnika, a wodę podgrzewają w mikrofalówce. 90-latki w pełnym makijażu wychodzą z koleżankami na kawę, życie toczy się luzie, bez spiny, presji posiadania. - Hiszpanie cały dzień chodzą po domu w butach, które potem zdejmują i odkładają pod łóżko. Na szczęście wyleczyłam męża z tego zwyczaju - śmieje się Karolina.

Boże Narodzenie po hiszpańsku

Choinki pojawiają się w Hiszpanii coraz częściej, jednak w wielu domach to szopka pozostaje najważniejszym symbolem świąt.

- Rodziny kupują figurki Trzech Króli, Dzieciątka, Maryi i Józefa, a dzieci często własnoręcznie je malują. Szopka bywa rozbudowana o zwierzątka, często oświetlona, a jej przygotowanie to jedna z najważniejszych tradycji - tłumaczy limanowianka.

Hiszpańskie dzieci nie czekają na świętego Mikołaja, lecz na Trzech Króli, którzy przynoszą prezenty w nocy z 5 na 6 stycznia. To wtedy Trzej Królowie, tradycyjnie jadący na wielbłądach, zostawiają dzieciom prezenty. Jest to wyczekana noc pełna magii, dziecięcej ekscytacji i rodzinnych celebracji. 6 grudnia - tak ważny w Polsce - w Hiszpanii właściwie nie istnieje. W Wigilię również nie ma zwyczaju obdarowania się prezentami. Hiszpańska kolacja wigilijna wygląda zupełnie inaczej niż polska. Nie ma dwunastu potraw ani postnych ograniczeń. Mięso jest tu jak najbardziej na miejscu, ale największą popularnością cieszą się owoce morza, szczególnie krewetki - prawdziwy świąteczny rarytas. Zamiast pierników na stołach królują turony - słodkości z migdałów, przypominające nieco polską chałwę. Występują w wielu odmianach i w święta są niemal obowiązkowe. Hiszpanie do kolacji zasiadają późno, zazwyczaj o godzinie 22. - W Hiszpanii nie ma tradycji składania życzeń, ale ja ten polski zwyczaj przeszczepiłam do naszego domu - uśmiecha się Karolina.

To o czym marzy Jurek? - dopytuję.

- Żeby urosnąć - odpowiada mama chłopca.

Marzenie Jurka kosztuje pół miliona złotych. Jego mama powtarza, że w słońcu łatwiej żyć. A jednak większe światło dają ludzie, którzy zechcą pochylić się nad tą historią. Za marzeniem 10-latka stoją nie tylko rodzice i lekarze, ale i wy, drodzy Czytelnicy, którzy zechcecie zatrzymać się na chwilę i dopisać do tej opowieści własny, choćby najmniejszy gest dobra. Święta mają to do siebie, że otwierają serca. Na oścież. A ofiarowane dobro wraca z powrotem - w dwójnasób.

eprasa.pl fc4eac13b3

TEOLOGIA/ FILOZOFIA

Św. Tomasz zastanawia się, czy każdy człowiek na anioła stróża

W wydawnictwie oo. dominikanów ukazał się ostatni w tym roku tom dzieł św. Tomasza z Akwinu - „Summa teologii", obejmująca kwestie 75-119 z części pierwszej. Poświęcił je człowiekowi (q. 75-102) i Bożym rządom nad światem (q. 103-119). Przyjmuje się, że powstały w poł. lat 60. XIII w., kiedy to papież Urban IV wezwał św. Tomasza do Rzymu i uczynił teologiem dworu papieskiego.

Porozmawiajmy o wolności człowieka

Część antropologiczna zawiera bardziej filozoficzne rozważania o naturze ludzkiej, ale też teologiczne zagadnienia związane ze stworzeniem człowieka. Opis natury ludzkiej porusza m.in. kwestie istoty duszy, jej władz oraz właściwych im działań.

Co ciekawe, Akwinata nie omawia tu całej antropologii, gdyż jej część, (zwłaszcza dotycząca uczuć), znajduje się w dalszej części Summy". Pisząc o stworzeniu człowieka św. Tomasz zastanawia się nad jego biblijnymi opisami, a szczególnie nad pierwotnym stanem sprawiedliwości, w którym człowiek się znajdował. Wśród tych antropologicznych rozważań znajdziemy m.in. teorię poznania przez abstrakcję, a także fragmenty o wolności człowieka:

„Człowiek ma wolny osąd, inaczej na darmo byłyby rady, zachęty, przykazania, zakazy, nagrody i kary. Aby się o tym przekonać, trzeba rozważyć, że niektóre rzeczy działają bez wydania sądu - na przykład kamień porusza się w dół i podobnie wszystkie rzeczy, którym brak poznania. Niektóre zaś działają na podstawie wydania sądu, ale nie wolnego - na przykład zwierzęta bezrozumne. Owca, widząc wilka, sądzi bowiem sądem naturalnym, a nie wolnym, że trzeba od niego uciekać, ponieważ sądzi nie na podstawie zestawiania, ale na podstawie naturalnego instynktu - czytamy w kwestii 83.

Czy natura człowieka pochodzi z jedzenia?

Część „Summy" traktująca o Bożych rządach nad światem zajmuje się sposobem, w jaki Bóg zachowuje stworzenie w istnieniu oraz prowadzi je poprzez swoją opatrzność do celu. Czyni to sam lub za pośrednictwem tzw. przyczyn wtórych (jak aniołowie i ludzie). Akwinata zaznacza przy tym realną autonomię stworzenia, a jednocześnie jego zależność od Boga. Kwestie te kończą zarazem pierwszą z części „Summy".

Ostatnia, 119 kwestia tego tomu nosi znamienny tytuł: „O rozmnażaniu się człowieka - co do ciała". Św. Tomasz stawia tu pytania dość zdumiewające, które i dzisiaj wywołały komentarze. W art. pierwszym pyta: „Czy coś z pożywienia zamienia się w prawdziwą naturę ludzką?" (łac. „Utrum aliqua pars cibi convertatur in veram humanam naturam?"); w drugim zaś bezpardonowo dopytuje: „Czy nasienie, które jest zasadą ludzkiego rodzenia, pochodzi z naddatku pożywienia?" (łac. „Utrum semen, quod est principium humanae generationis, producatur ex superfluitate cibi?").

Ale to i tak przedsmak tego, co znajdziemy w kolejnej części, czyli Prima secundae. Będzie tam m.in. o człowieku i jego dążeniu do szczęścia, o ludzkich grzechach i wadach, prawie Starego i Nowego Testamentu, o prawie świeckim, a także o łasce. **margra**

Tomasz z Akwinu, „Summa Teologii" (I, q. 75-119), t. 18 serii, wyd. W drodze, Pro Futuro, Instytut Tomistyczny 2025, cena 99,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

KLAUDIA EL DURSI

Ma dużo centymetrów

Celebrytka w tym roku po raz trzeci została mamą. Pół roku po porodzie nie jest jednak w stanie powrócić do formy sprzed ciąży. Poskarżyła się na to podczas niedawnej wizyty w „Dzień dobry TVN". W rozmowie z prowadzącymi program przyznała, że nie udało jej się też zbić wagi do 70 kg - a tyle ważyła przed ciążą. Całe szczęście jej partner jest wyrozumiały. - Ja w dużej mierze chyba dzięki Jackowi sobie tak tkwię w tych pełnych kilogramach, bo on każdego dnia mówi mi, jak pięknie wyglądam. To jest superkochane. Jacek uważa, że ja teraz jestem najpiękniejszą wersją siebie, bo on ma dużo centymetrów do kochania - podsumowała.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Klaudia El Dursi po raz trzeci została mamą. I żali się, że ma problemy z tym, by wrócić do wagi sprzed ciąży

JULIA WIENIAWA

Zawarła ugodę

Wiosną ubiegłego roku piosenkarka poinformowała, że zakończyła współpracę z wytwórnią, która czuwała nad jej muzycznymi poczynaniami. Przedstawiciele Kayaxu twierdzili jednak, że kontrakt nadal obowiązuje. Konflikt nabrał tempa, kiedy wokalistka wydała samodzielnie singiel „Sobą tak". Wieniawa sugerowała, że piosenka jest blokowana w serwisach streamingowych przez Kayax. Wszystko wskazywało więc, że obie strony spotkają się w sądzie. Tymczasem w minionym tygodniu pojawił się wspólny komunikat, głoszący, że Wieniawa i Kayax zawarli ugodę, która zamyka roszczenia i otwiera drogę do wspólnych projektów w przyszłości. „Nasze drogi jeszcze się przetną" - zapowiadają obie strony.

MONIKA RICHARDSON

Nie pije codziennie

Celebrytka była w latach 2014--2023 żoną cenionego aktora Zbigniewa Zamachowskiego. Teraz w wywiadzie dla Kozaczka zdradziła, że był to dla niej ciężki czas. - W okresie mojego trzeciego małżeństwa myślę, że ocierałam się o alkoholizm, było życie ustawione pod „kiedy jest następna okazja, żeby się napić" - wyznała. I dodała, że nadal sięga po alkohol. - Ja piję, jak najbardziej. Tylko, po pierwsze, nie piję codziennie, a było w moim życiu tak, że piłam codziennie, i trwało to kilka ładnych lat. Po drugie, nie upijam się do momentu posiadania kaca, bo w wieku 53 lat kaca się inaczej przeżywa niż jak się miało 20. Nie doprowadzam się do kaca, nie planuję życia pod alkohol - podkreśliła.

JOANNA JABŁCZYŃSKA

Daleko odjechała

Cztery lata temu aktorka i prawniczka zdecydowała się na zakup domu do remontu na wsi pod Warszawą. Decyzja o przeprowadzce nie była podyktowana impulsem. Jabłczyńska rozpoczęła karierę teatralną i telewizyjną w młodym wieku, co sprawiło, że aktualnie ma dużą potrzebę prywatności. - To nie było tak, że nagle coś takiego wybuchło, tylko tym pociągiem strasznie daleko odjechałam i to był chyba ostatni moment, kiedy moja intuicja gdzieś z daleka powiedziała: „Hej, tu jestem, tu na wsi" - stwierdziła w wywiadzie. I dodała: Popełniłam wiele błędów w swoim życiu. No dobra, ale pokażcie mi kogoś, kto jest 30 lat w szumnie zwanym show-biznesie i nie walnął głupoty?

EDYTA GÓRNIAK

Wprowadzi widzów

Gwiazda szykuje się do występu podczas sylwestrowego koncertu Polsatu. Jak udało się dowiedzieć Pudelkowi, Górniak zgarnie za wykonanie kilku piosenek aż 150 tys. zł. To właśnie jej przypadnie zaszczyt zaśpiewania w okolicach północy i to z nią miliony widzów przywitają Nowy Rok.

- W tym roku decyzja zapadła szybko. Nowy Rok z widzami Polsatu przywita Edyta Górniak. To bez wątpienia największa gwiazda tegorocznej imprezy. Miała również propozycje od konkurencyjnych stacji, ale wybrała Polsat. Producenci są przekonani, że to właśnie ona najpiękniej wprowadzi widzów w Nowy Rok - zdradza „Faktowi" osoba związana z Polsatem.

WERONIKA ROSATI

Stanęła na ściance

Popularna aktorka od kilku lat mieszka na stałe w Los Angeles i tam koncentruje się na karierze. Co jakiś czas występuje w filmach i serialach, mając w dorobku role u boku takich gwiazdorów, jak Michael Douglas czy Nicolas Cage. Ostatnio pochwaliła się, że wystąpiła w filmie „In The Night", partnerując Mickeyowi Rourke. - Zrobiłam coś, co niewielu osobom się udało: międzynarodową karierę. Gram w zagranicznych produkcjach, z oscarowymi aktorami - podkreśla w „Vivie". W minionym tygodniu Rosati poinformowała, że wzięła udział w premierze thrillera „Housemaid", która odbyła się w Los Angeles.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Dzień sprzyja działaniu i szybkim decyzjom. Horoskop dzienny wyraźnie zapowiada, że energia Ci dopisze.

Ryby (19.02 - 20.03)
Skup się na sprawach domowych i finansach. Horoskop na dziś mówi, że spokój i konsekwencja przyniosą dziś lepsze efekty niż pośpiech.

Baran (21.03 - 19.04)
Rozmowy odegrają ważną rolę. Horoskop dzienny na wtorek wróży, że możesz dostać ciekawą propozycję lub inspirujący pomysł.

Byk (20.04 - 20.05)
Emocje będą silniejsze niż zwykle. Horoskop dzienny to wyraźna wskazówka, by zadbać o własne potrzeby.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Przed Tobą dobry dzień na pokazanie talentów. Horoskop na dziś wróży, że ktoś doceni Twoje zaangażowanie.

Rak (22.06 - 22.07)
Porządkowanie spraw da ci poczucie kontroli. Horoskop dzienny na wtorek radzi uważać jednak, by nie krytykować siebie za drobiazgi.

Lew (23.07 - 22.08)
Relacje wysuną się na pierwszy plan. Warto iść na kompromis, bo horoskop dzienny zapowiada, że zgoda przyniesie więcej niż upór.

Panna (23.08 - 22.09)
Intuicja podpowie ci właściwy kierunek. Nie wszystko musi być głośne. Horoskop na dziś zapowiada, że cisza też działa na twoją korzyść.

Waga (23.09 - 22.10)
Poczujesz potrzebę zmiany lub ruchu. Horoskop dzienny na wtorek wróży, że nowy plan doda ci optymizmu.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Obowiązki mogą się piętrzyć, ale dasz radę. Horoskop dzienny wróży, że systematyczność i spokój pozwolą uniknąć stresu.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Kreatywność i nieszablonowe myślenie zaprocentują. Horoskop na dziś zapowiada, że postanowisz podzielić się pomysłem z innymi.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wrażliwość pomoże ci zrozumieć innych. Horoskop dzienny na wtorek stanowczo radzi zadbać o poprawne relacje z otoczeniem.

GŁOS DZIENNIK POMORZA
www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.pl

Redaktor naczelny **Jarosław Jaz.**
Z-cy red. nacz.: **Marcin Stefanowski, Wojciech Frelichowski, Ynona Husaim-Sobecka.** Prezes Makroregionu **Piotr Grabowski.**
Dyrektor biura reklamy oddziału **Ewa Żelazko.**
Dyrektor marketingu **Robert Gromowski.**

Redakcja. SŁUPSK, ul. Henryka Pobożnego 19, **tel. 59 848 81 00, redakcja.gp24@polskapress.pl,** KOSZALIN, ul. Partyzantów 17, **tel. 94 347 35 52, redakcja.gk24@polskapress.pl,** SZCZECIN, Al. Niepodległości 26/U1, **tel. 91 481 33 00. redakcja.gs24@polskapress.pl.**
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229.

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gp24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl fc4eac13b3

Głos Dziennik Pomorza
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

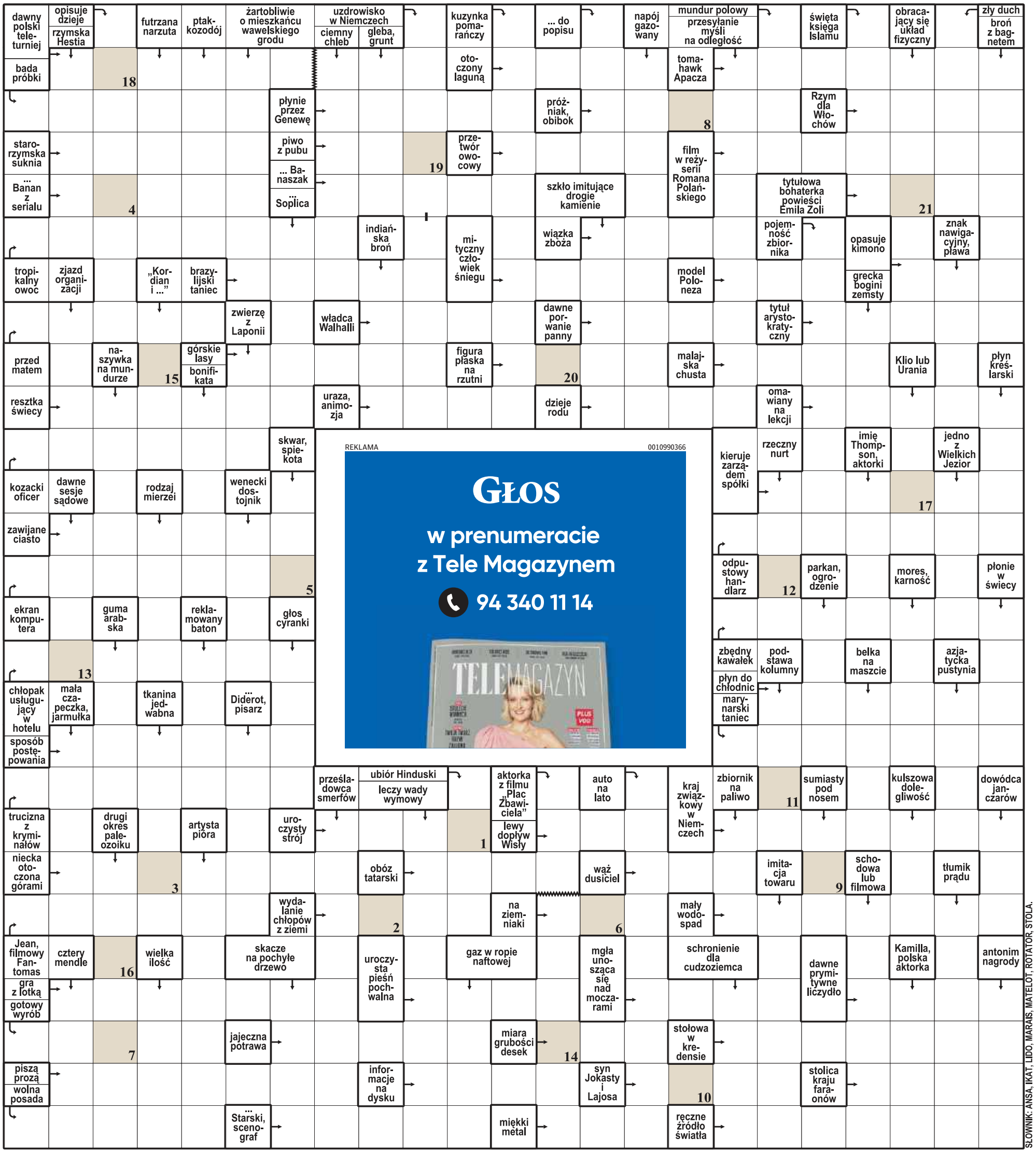

SŁOWNIK: ANSA, IKAT, LIDO, MARAIS, MATELOT, ROTATOR, STOLA.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą rozwiązanie – myśl Cypriana Kamila Norwida.

ROZWIĄZANIE: AUTORÓW SĄDZĄ ICH DZIEŁA.

eprasa.pl fc4eac13b3